ROK XII CZERWIEC 1938 NR. 6

GŁOS KAPŁAŃSKI

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY
SPRAWOM DUCHOWIEŃSTWA KATOLICKIEGO
Wychodzi pod redakcją Ks. D-ra Eugeniusza Szlenka.

U źródeł kapłańskiego optymizmu.

Procesja wielkopiątkowa poświęcona adoracji krzyża sprawia wrażenie niezapomniane. Ecce lignum crucis! — intonuje celebrans odsłaniając przed wiernymi symbol ostatecznego poniżenia Chrystusa. Jakiż zatem wątek winien się snuć w pieśni liturgicznej nuconej przez duchowieństwo? Należałoby się spodziewać smutku, współczucia dla sponiewieranego Pomazańca Bożego. A jednak uczucie Kościoła w tej chwili bolesnej dalekie jest od jakiejkolwiek tkliwości. Wręcz przeciwnie! Świątynia bowiem rozbrzmiewa pieśnią:

Hagios ho Theos, Hagios Ischyros, Hagios Athanatos — Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny — zmiłuj się nad nami. W żałobnym nastroju wielkopiątkowym jak gdyby łagodny świt niedalekiego już zmartwychwstania. U stóp krzyża składa Kościół wyznanie korne we wszechmoc Zbawiciela.

W dawnej sztuce chrześcijańskiej powtarzają się motywy liturgii. Na starożytnych krucyfiksach można znaleźć postać Chrystusa, bynajmniej nie odartą z szat, nie skatowaną, nie zbeszczeszczoną. Głowę Zbawiciela zdobi korona, nie cierniowa, lecz królewska. Do samych stóp spada uroczysta tunika imperatorów. Baranek Boży, który za cenę śmierci haniebnej gładzi grzechy świata, lecz w tym właśnie poniżeniu bezmiernym dostępujący, jako człowiek, godności Najwyższego Króla Wszechrzeczy, wyniesiony na Sędziego Żywych i Umarłych, Zbawiciel — wszechwładca.

Syn Boży wyniszczył samego siebie ukrywając pełnię bóstwa pod postacią człowieka wrażliwego na ból, podległego śmierci. Wolny od grzechu przyjął na się człowieczeństwo obarczone śladami grzechu pierworodnego. Dobrowolnie wyciągnął ramiona na przyjęcie krzyża, z miłości dla Ojca Niebieskiego, przez miłosierdzie względem człowieka. „Ofiarowan jest iż sam chciał" (Iz. 5, 37), chciał umrzeć. Większego upokorzenia dla Chrystusa już nie było, i być nie mogło. Przez śmierć Chrystus Pan zyskał prawo do chwały. W posiadanie należnej mu glorii wszedł przez swe zmartwychwstanie. Przez nie udziałem Odkupiciela stało się „imię ponad wszelkie imię, aby na imię Jezusowe wszelkie kolano klękało niebieskich, ziemskich i podziemnych" (Fil. 2, 9).

Wraz z kamieniem grobowym Chrystus Pan odwalił najpierw od siebie we własnym swym ciele wszelką więź z tym, co w człowieku nosi znamiona słabości i upadku. „Śmierć mu już więcej panować nie będzie" (Rzym. 6, 9). Rozbłysnął pełnią chwały, ku której jako pierworodny odkupionej ludzkości, poprowadzić pragnie wszystkich, którzy biorą krzyż swój na każdy dzień i naśladują Go.

Przez zmartwychwstanie Chrystusa nam dany jest znak, że Ojciec Niebieski ofiarę krzyża przyjął z najwyższym upodobaniem. Bez tego znaku próżną byłaby wiara nasza, próżnym przepowiadanie nasze.

Krzyż jest świadectwem nieprzebranej miłości Bożej, która bynajmniej nie czeka na opamiętanie człowieka, lecz szuka go, idzie w ślad za nim póki nie znajdzie co było zginęło, póki nie przywiedzie na drogę prawą co się zbłąkało. „Miłość swą zaleca Bóg względem nas, że gdyśmy jeszcze byli grzesznymi, Chrystus za nas umarł" (Rzym. 5, 8).

Krzyż jest uderzeniem sprawiedliwości Bożej w twardą opokę ludzkich sumień, by je skłonić do skruchy, do pokuty, do zadosyćuczynienia. Krzyż Chrystusa rozwalił władztwo księcia ciemności, skreślił cyrograf ciążący nad uwikłanym w dziedzictwo grzechu człowiekiem. Zmartwychwstanie Pańskie stało się źródłem życia nadprzyrodzonego, rękojmią naszego zwycięstwa przez łaskę, przy dobrej woli, nad wszelkimi przeciwnościami duchowymi, zapowiedzią i zadatkiem osobistej chwalebnej nieśmiertelności każdego chrześcijanina, który wytrwa w dobrym aż do

końca. „Chrystus został wydany dla występków naszych i wstał z martwych dla naszego usprawiedliwienia“ (Rzym. 4, 25), oświadcza z naciskiem św. Paweł.

Myślę, czy nie możnaby mówić o pewnym zapoznaniu wartości zmartwychwstania w naszych dziełkach ascetycznych, w kazaniach głoszonych do ludu.

W przyrodzie na każdym niemal kroku dostrzegamy podwójny rytm: śmierci i życia, rozkładu i powstawania, zaniku i wzrostu. W podwójnym rytmie dokonało się odkupienie świata i rozwija się zbawienie człowieka: oczyszczenie i uświęcenie, wyzwoliny z niewoli zła i przyobleczenie w łaskę Bożą.

W sakramencie chrztu ten podwójny rytm zespala się w jedną tajemnicę naszego wszczepienia w Chrystusa: mocą śmierci ofiarnej pogrzebani z nim pospołu dla grzechu, abyśmy mocą chwalebnego zmartwychwstania w nowości życia chodzili. (Rzym. 6, 4).

Jak w hymnie liturgicznym, gdzie ta sama zwrotka i ta sama melodia może stwierdzać tragizm wszystkiego, co doczesne lub wieścić radość zwycięstwa Chrystusowego.

O, crux ave, spes unica!
i wiersz zmienny: hoc passionis tempore —
czy też paschale quae fers gaudium,
Piis adauge gratiam Reisque dele crimina.

* * *

W którymś z muzeów zagranicznych stanąwszy przed obrazem przedstawiającym Kalwarię odczułem dreszcz zgrozy. Na pierwszy plan wysunięty był jeden z łotrów, zawieszony na wyschłym niemal pniu drzewnym — w takim jakimś straszliwym skurczu członków, z głową odrzuconą w tył w niewypowiedzianej udręce, w zmaganiu okropnym, pełnym wściekłości i buntu. W mym wewnętrznym odczuciu miałem przed sobą symbol człowieka bez światła wiary, bez iskry nadziei.

Chrystus natomiast zdawał się nie odczuwać bólu. Nie wisiał, a niemal spoczywał na ramionach krzyża spokojny, owiany nieziemską pogodą. Prawdziwie Pan życia i śmierci, sięgający swym wzrokiem poza grób ku chwale ostatecznej. Jak gdyby odblask spokoju Chrystusowego docierał do nawróconego łotra.

„Jam jest zmartwychwstanie i żywot". Oto zasadnicza postawa Chrystusa, której się nie wyrzekł nawet w tej godzinie, gdy skłoniwszy głowę, ducha wyzionął. Postawa nacechowana istotnym optymizmem i obowiązująca wszystkich wyznawców Ukrzyżowanego. „Jeśli kto we mnie wierzy, choćby umarł, żyw będzie" (J. 11, 25).

Wiosnę ludów zapowiadano na progu dzisiejszej demokracji: braterstwo powszechne, równość społeczną, wolność osobistą. Zamiast Boga wzniesiono przed człowiekiem bożyszcze własnego rozumu i dobrobytu doczesnego. A w rezultacie, po upływie niespełna dwóch wieków straszliwa zawierucha wojenna, okropna tyrania komunistycznego ustroju, zrównanie wszystkich na prawach maszyny. W pośrodku niesłychanego rozwoju techniki, w konwulsjach najróżnorodniejszych kryzysów, wije się, jak ten łotr, człowiek zawieszony na uschłym drzewie własnej wielkości. Powtarza się scena z Kalwarii: jedni bluźnią przeciw Bogu, miotają się z wściekłością przeciw Chrystusowi, wypowiadają wręcz walkę Kościołowi. Inni podnoszą w niebo oczy obolałe od zawodów i od szarpaniny, szukają ratunku w Kościele, szukają ostoi w nas, kapłanach katolickich.

Głośna książka Carrela (Człowiek istota nieznana) ma wszelkie dane by uchodzić za ostatni wyraz dzisiejszej poważnej wiedzy. Czytamy w niej między innymi takie oświadczenie: „Człowiekowi nie wystarczy podziwiać piękno morza, gór i chmur, arcydzieł artystów i poetów, wielkich systemów myśli filozoficznej, formuł matematycznych wyrażających prawa naturalne — winien być również duszą, która walczy, aby zdobyć ideał moralny, która szuka światła wśród mroku rzeczy i taką nawet, która przebiegając drogi mistyki wyrzeka się samej siebie, aby osiągnąć podłoże niewidzialne tego świata".

Oto wnioski, o których wybitny uczony, laureat Nobla, ręczy, że są wyrazem ciężkiej pracy naukowej, wynikiem cierpliwych poszukiwań, długoletnich obserwacji i doświadczeń wielu lekarzy, wychowawców, ekonomistów, socjologów. To był głos nauki krytycznej.

Głos zaś wiary odpowiada zdaniem, rzuconym niedawno na łamach „Kultury": „Kościół nie głosi żadnych doczesnych programów, nie uprawia żadnej polityki, nie opowiada się za żadną partią... Jak dobra matka pozwala dzieciom róść w latach

i w łasce Bożej, nie hamuje w niczym ich wolności, o ile ta wolność nie zostanie nadużyta przez grzech... Na wszelkie zło istniejące na świecie, Kościół ma lekarstwo... nie siłę materialną, lecz jasną broń ducha". Naukę krzyża i moc zmartwychwstania.

(d. n.).

Ks. A. Pawłowski.
Prof. Uniw. S. B.

„In conveniendo populos in unum".

(Ps. 101, 23).

Szeroko rozpisały się gazety i czasopisma katolickie o 34 Światowym Kongresie Eucharystycznym w Budapeszcie, który się odbył w ostatnich dniach maja b. r. Bogato ilustrowały jego wspaniałe uroczystości, informowały o drobnych nawet szczegółach, dawały bezpośrednie opisy nabożeństw, zebrań i manifestacyj kongresowych, streszczały lub podawały w wyjątkach znamienitsze przemówienia i referaty. To też chciałbym raczej na tym miejscu podzielić się z czcigodną bracią kapłańską garścią wrażeń jak najbardziej bezpośrednich, dać tym, którzy nie mogli pojechać do Budapesztu, a zapewne pragnęli to uczynić, pewne odczucie rzeczywistości przede wszystkim tej wspaniałej lśniącej złotym światłem, barwą i płomieniami serc ludzkich, choć nie brakowało i tej szarej, ludzkiej, spełniającej rolę liści wśród kwiecia czy cieniów w pięknym skądinąd obrazie. I tego niezmiernie miłego dodatku, którego zapewne każdy z pozostałych w domu zazdrościł tym, którzy pojechali, to jest tej przyjemności poznania nowego kraju, zobaczenia okolic otoczonych urokiem zagranicy, a okolic pięknych, kraju sympatycznego, miasta słynącego z swej krasy i położenia. Te ramy naturalne, ten scenariusz boży, do którego pokolenia ludzkie po swojemu dokładały ręki, niemałą rolę odegrały w rydwanie Eucharystii uwielbionej, Od nich też zacząć należy, jeśli się chce pisać wrażenia, a nie suche sprawozdanie z kongresu.

Dłuższe zatrzymanie się pociągu obudziło przeważnie wygodnie śpiących — bo wagony miały miejsca do leżenia — podróżnych — to granica węgierska. Właśnie chłodny, wczesny

poranek rozpoczynał piękny pogodny dzień, który miał być tak obfity we wrażenia. Nastrój odrazu po przejechaniu granicy był dziwnie uroczysty. Przypatrujemy się ciekawie Węgrom, ładnie umundurowanym, którzy aczkolwiek poważnie odnoszą się do nas, jak to się wyczuwa, b. sympatycznie. Żadnej rewizji celnej, żadnych prawie formalności. Odjeżdżamy wkrótce, już nikt nie śpi, słońce rzuca pierwsze promienie na uroczy kraj. Z jednej strony pociągu zielony świat górski, umajone doliny, pokryte winnicami zbocza pagórków, tonące w zieleni domki i wille, całe miasteczka i wioski czyste i świeże jakby wraz ze swym otoczeniem były dziełem natury. Z drugiej wspaniałe, królewskie wody Dunaju tuż tuż pod linią kolejową, toczące się szeroko a poważnie i znikające w załomie gór, między które skręca właśnie Dunaj. Na wzgórzach po drugiej stronie Dunaju zamki, miasteczka, kościoły upiększają jeszcze i tak już uroczą okolicę, statki i berlinki sunące po spokojnych wodach, schludne osiedla ludzkie i wille na brzegach, opadające stromo tu i owdzie zbocza gór, czynią wrażenie cichych zakątków Riviery. Jedziemy wciąż lewym brzegiem Dunaju, mijamy jedną za drugą przybrane specjalnie na kongres i ozdobione flagami papieskimi i narodowymi stacje węgierskie między innymi starożytny Vac z widoczną z pociągu katedrą (biskupstwo założone przez św. Stefana) i wkrótce po oddaleniu się nieco od Dunaju stajemy w Peszcie, prawie w środku miasta, bo już z peronu przez oszklone rampy dworca widać wysokie domy bulwarów. Taksówkami odwożą nas do miejsca zamieszkania. Mnie dość szczęśliwie wypadło mieszkać niedaleko od Placu Bohaterów, na którym odbywały się najważniejsze uroczystości kongresowe, u znanego publicysty i literata węgierskiego Köszeghy Istwana.

Pierwszy dzień Kongresu, dzień Wniebowstąpienia Pańskiego należał do najpiękniejszych. Potężne głośniki zainstalowane już na ulicach, wiodących do placu Bohaterów, rozbrzmiewały wszystkimi językami, dając informacje tłumom, zdążającym na godz. 9-tą na nabożeństwo przed ołtarz kongresu, podniecając ich pobożność i wprowadzając podniosły nastrój. Dzień był piękny, słoneczny, nastrój świąteczny spotęgowany. Właśnie gdy szedłem, przez mikrofon przemawiał Włoch, zapowiadając w pięknych — językowi temu tylko właściwych słowach, że dzień dzisiejszy będzie to fior de fiori całego Kongresu; rozpocz-

nie go Komunia święta tysięcy dziatek, które jako te aniołki białe otoczą tron Tego, który powiedział „Dopuście dziatkom przyjść do mnie“ — a zakończy nocna procesja statków po Dunaju. Gdy przybyłem na plac Bohaterów i, dostawszy się na jedną z trybun, powiodłem okiem po placu — dreszcz wzruszenia przebiegł po moim ciele; cały olbrzymi plac wraz z wznoszącymi się po jego brzegach trybunami, jakoby skłonem wzgórz, zalany był morzem głów. A nie wiedziałem jeszcze wtedy, że tam poza półkolistą kolumnadą, okalającą plac od strony parku Városliget, na wysuszonych i wybetonowanych dnach stawów parkowych znajdują się jeszcze większe tłumy. I byli to tylko ci, którzy posiadali bilety wejścia na place, bo poza kordonami policji zamykającymi wyloty ulic, wiodących do placu, stały jeszcze zwarte gromady tych, którzy biletów nie posiadali. W środku kolumnady, między tryumfalnymi kwadrygami na jej szczytach, wznosiło się wysokie podium a na nim widoczny zewsząd ołtarz pod olbrzymim bronzowym baldachimem, jakby żywcem przeniesionym tu z Bazyliki św. Piotra w Rzymie. Z tyłu po bokach dwie białe romańskie wieżyczki. Z podium zwisały ku dołowi białe draperie z artystycznie wykonanymi postaciami świętych. Wkrótce między tłumem zaczął się przewijać długi wąż procesji, szło duchowieństwo, prałaci, biskupi i kardynałowie ze swą wspaniałą świtą, kierując się ku kolumnadzie i pnąc się po stopniach ku szczytom ołtarza. Centralną trybunę po lewej stronie placu zajęli dostojnicy świeccy, regent Horthy z małżonką, ministrowie w bogatych narodowych strojach, dyplomacja i urzędnicy wyżsi. Gdy Kard. Verdier rozpoczął Mszę św. na plac wychodzić zaczęły inne procesje — długie sznury ministrantów ze świecami i duchowieństwa w komżach i stułach a między nimi niesiono jakoby arki przymierza przenośne ołtarze-tabernacula z dziesiątkami puszek z Najśw. Sakramentem. Trudno bowiem byłoby tyle tysięcy dzieci (według obliczeń 65.000) obdarzyć Komunią św. w pobliżu ołtarza, — zresztą i wielu starszych pielgrzymów pragnęło przyjąć tu Komunię św., więc też kapłani z Najśw. Sakramentem szli wszędzie uliczkami między ławki i trybuny, karmiąc rzesze Chlebem Żywota. Zaraz po nabożeństwie plac zaczął się opróżniać. My kapłani udaliśmy się długą, reprezentacyjną ulicą Andrassy do Bazyliki św. Stefana na specjalne zebranie kleru, wierni zostali zaproszeni do kościołów, aby w tym czasie modlić się w intencji

duchowieństwa. Poważna, majestatyczna Bazylika św. Stefana wypełniła się po brzegi samymi kapłanami. Robiło to głębokie wrażenie. Prezbiterium zajęli biskupi i kardynałowie. Na ambonę wszedł Kard. Pacelli owacyjne witany, jako Legat Papieski, i wygłosił dłuższą łacińską przemowę, w której bardzo między innymi akcentował jedność i solidarność duchowieństwa z opoką tej jedności — Stolicą Piotrową, a którą to jedność dać nam powinna Eucharystia — jako dar Tego, który przy jej ustanawianiu gorąco się modlił „ut unum sint". Nastąpiły jeszcze dwa referaty również w języku łacińskim O. Plus S. J. „Quid a sacerdote requiratur, ut minister sit Eucharistiae, vinculi caritatis", oraz Opata Kelemana „Quid conferre possit sacerdos, ut Eucharistia sit vere vinculum caritatis". Wreszcie zakończyła zebranie przemowa biskupa Heylen, Prezesa stałego komitetu Kongresów Międzynarodowych. Trzeba jednak przyznać, że żaden z mówców technicznie, z punktu widzenia wygłoszenia pięknej treści swego przemówienia, nie wywiązał się zupełnie dobrze, może przyczyną były warunki w jakich przemawiano, nawet Kard. Pacelli, którego gestykulacja wszystkich zachwycała mówił za szybko i za wysoko — tak iż dobrze słyszeli tylko ci, którzy byli albo bliżej ambony, albo bliżej głośników rozmieszczonych po krańcach bazyliki. Cierpliwość więc duchowieństwa była wystawiona na pewną próbę, mimo to, trzeba przyznać, większość tłoczyła się energicznie ku ambonie lub głośnikom i starała się usłyszeć jak najwięcej. Piękne śpiewy, między innymi Palestriny „Sacerdotes Domini" wykonane przez Schola Cantorum Sabariensis dopełniły całości. Popołudniowe pierwsze plenarne zebranie kongresu poza inauguralnymi przemówieniami wypełnione zostało referatem ks. Tihaméra Tótha „Eucharystia jako węzeł miłości między Bogiem a ludźmi" ten jako wygłoszony w języku węgierskim nie był dla nas dostępny. Potem nastąpiły krótkie przemówienia przedstawicieli poszczególnych narodów w swoich językach, według alfabetu; zdążyło przemówić 13 narodów Albania, Anglia, Argentyna, Australia, Belgia, Boliwia, Brazylia; Bułgaria; Czechosłowacja, Czile, Dania, Gdańsk, Egipt. Tak to pięknie w dzień Wniebowstąpienia „wszelki język wyznawał, iż Pan Jezus Chrystus jest w chwale Boga Ojca" (Filip 2, 11).

Najtrudniej będzie mi chyba opisać słynną procesję po Dunaju, wieczorem tego pięknego dnia. Może zmęczeniu i spóźnieniu

zawdzięczam, iż mogłem ją podziwiać z bliska a nawet w niej uczestniczyć. Boć już od 5-ej po południu tłumy zaczęły zajmować brzegi Dunaju, choć na 8-ą wieczorem wyznaczona była procesja. Gdy już dobrze po 8-ej przybyłem w okolice Bazyliki nie od strony Dunaju, lecz przeciwnej i grzeczna policja węgierska przepuściła mnie przez swe kordony, zdawało się, że wokół Bazyliki wszystko wymarło — cisza i pustka dokoła — żarząca się fasada Bazyliki od światła ukrytych reflektorów wzmagała jeszcze kontrast ciemności otoczenia; dopiero po chwili zauważyłem, że wszystkie ulice otwierające się na plac przed Bazyliką są szczelnie wypełnione ludźmi i zamknięte kordonami policji, a tylko jedna z nich, ta, która od Bazyliki wiedzie w stronę Dunaju otwarta i wypełniona sznurami stojących w szpalerach zakonnic z latarniami w rękach.

Za chwilę ruszył strojny pluton gwardii konnej, piesza kompania honorowa z orkiestrą i z katedry zaczęła wychodzić procesja. Olbrzymi krucyfiks otwierał procesję. Szeregi ministrantów, uroczyście ubranych, przedstawiciele zakonów, duchowieństwa, prałaci, biskupi — wszyscy z płonącymi świecami w rękach posuwali się w ciszy i powadze naprzód i tylko głos dzwonków obwieszczał długim szpalerom sióstr i dziewcząt: „Prudentes virgines, aptate lampades vestras, ecce Sponsus venit“. W otoczeniu barwnych halabardników, gwardzistów i kawalerów rycerskich zakonów niesie pod baldachimem Najświętszy Sakrament Legat Papieski; za baldachimem idą pojedyńczo dostojni purpuraci, przedstawiciele Rządu i dyplomacji. Z grupą jakichś księży francuskich, którzy też wyjątkowo tu się znaleźli dostałem się do orszaku procesji i w ten sposób znalazłem się wraz z nią nad Dunajem, obok przystani gdzie stał przygotowany dla Najśw. Sakramentu statek. Statków właściwie widać nie było — widać było raczej tylko misternie utkane ze sznurów świateł rydwany, iskrzące się w ciemności. Brzegi Dunaju wysadzone jak sznurami pereł tysiącami świateł żywych, jaśniejące na tle ciemnego nieba pałace na szczytach Budy: biały kościół koronacyjny, Baszty Rybaków i centralna część zamku królewskiego, wreszcie ciemna, wysoka góra św. Gerarda, z oświetloną tylko cytadelą na szczycie i tkwiącymi w zieleni jak diamenty światełkami lamp na stromych zboczach — tworzyły godne a dostojne otoczenie dla kołyszących się na falach Dunaju statków-kościołów. Z poza szczytu

góry św. Gerarda, jakoby olbrzymie promienie wschodzącego a niewidocznego jeszcze słońca, rozchodziły się półkolem niebieskie smugi światła, tworząc świetlany delikatny baldachim nad statkiem, Dunajem i miastem całym. Gdy wystrzeliła w niebo rakieta, dająca znać, że Sanctissimum zostało już ulokowane w oszklonej kabinie na swym pływającym tronie, statki ruszyły ku wyspie św. Małgorzaty a szeregi świateł po obu brzegach Dunaju zaczęły się pochylać i falować w kornej adoracji. Nie wiem, czy była cisza zupełna, przecież orkiestry grały i zdaje mi się, że śpiewano hymny eucharystyczne, ale mnie wydawało się, że wszystko odbywa się w ciszy głębokiej, powaga chwili i skupienie tłumów musiało robić to wrażenie. Statki sunęły szybko ale majestatycznie. Mimo dużej trasy procesji nikt nie odczuł szybko uciekającego czasu i wkrótce procesja wróciła do punktu wyjścia a wystrzał armatni oznajmił chwilę błogosławieństwa Najśw. Sakramentem. Buchnęły snopy świateł na górze św. Gerarda, zajaśniał krzyż na jej szczycie, a emblemat Eucharystii — kielich z hostią — na drugim krańcu Budy; pochyliły się wszystkie głowy, zgięło się wszelkie kolano i spłynęło na przedstawicieli wszystkich narodów błogosławieństwo ex navi.

Mimo późnej pory rozejścia się do domów uczestników Kongresu w dniu Wniebowstąpienia Pańskiego, nazajutrz rano wcześnie rozpoczęły się uroczystości kongresowe, choć przed południem nie miały one charakteru plenarnego. Poszczególne narodowości miały nabożeństwa w swoich kościołach. Tymczasem na placu Bohaterów zgromadzili się bohaterzy wojny światowej — b. kombatanci, inwalidzi oraz przedstawiciele armii z węgierskim ministrem wojny na czele. Kard. Gerlier b. uczestnik wojny światowej celebrował Mszę św. Biskup polowy Węgier wygłosił przemówienie. I gdy tak ci, którzy z okropnościami wojny się zetknęli, lub którym to zetknięcie się grozi w pierwszym rzędzie, modlili się o pokój i zgodę narodów i stawali się uczestnikami jednego stołu Pańskiego — pod sklepienia Bazyliki wznosiły się modły chrześcijańskiego wschodu o jedność w Kościele Chrystusowym. Biskup Aten przy współcelebrze innych odprawiał Mszę św. wschodniego obrządku w całym splendorze ceremonij św. Jana Chryzostoma. Resztę przedpołudnia wypełniły posiedzenia sekcyj poszczególnych narodowości. Na popołudniowym drugim plenarnym posiedzeniu kongresu premier węgierski, Béla Imrédy, wy-

głosił referat na temat „Eucharystia jako węzeł miłości w rodzinie chrześcijańskiej". W dalszym ciągu przemówień przedstawicieli poszczególnych narodów przemawiali przedstawiciele Estonii, Finlandii, Filipinów, Grecji, Hawany, Holandii, Indii, Irlandii; Japonii, Jugosławii, Kanady, Chin, Polski, Łotwy, Libanu i Syrii. W imieniu Polaków przemawiał kard. Hlond. Dzień ten zakończył się podobną nocną manifestacją, jak poprzedni. Była to nocna adoracja mężczyzn na placu Bohaterów. Niestety siły moje nie pozwoliły mi już na uczestniczenie w niej. Poszedłem coprawda ok. g. 9-ej wieczorem na plac Bohaterów — lecz właściwa adoracja miała się dopiero rozpocząć około północy Mszą św. celebrowaną przez Prymasa Hiszpanii, kard. Gomá y Tomas. To jednakże, co zobaczyłem, przebywając na placu do 10-ej wywarło na mnie niezatarte wrażenie. Tysiące i dziesiątki tysięcy mężczyzn, mężczyzn młodych i w sile wieku i to przeważnie inteligencji, zalegających plac Bohaterów, już o 9-ej godz. troskliwie zajmujących miejsca, lub stojących długimi szeregami u konfesjonałów, rozstawionych po placu, z wyrazem entuzjazmu i siły przekonań na twarzach, to naprawdę mówiło dobitnie, że Christus regnat. A gdy obszedłszy plac z drugiej strony zobaczyłem liczne grupy Słowaków, Węgrów o typach ludowych, podążających ze śpiewem tłumnie na place po drugiej stronie ołtarza i zajmujących skwapliwie wyznaczone im pozycje, a na ich prostych robotniczych lub wieśniaczych twarzach i w ich zachowaniu się wśród nocy, niezwykłe ożywienie i zapał, to mi się zdało, że mam przed sobą jakiś zaczątek duchowej rewolucji, jakąś wiosnę ludów, której Christus imperat. I wracałem do domu ulicami, którymi jakoby wyschniętymi łożyskami rzek podążały spiesznym krokiem coraz to nowe grupy i pielgrzymki, ze sztandarami i śpiewami, sami mężczyźni, (nieliczne kobiety stały daleko poza linami kordonów zamykających ulice zdala od placu) wracałem, przewijając się między gęstą ciżbą wiernych wyznawców Mistrza z Nazaretu, na których twarzach wypisane było, że oto mimo wszystko w zmaterializowanym świecie dzisiejszym Chrystus zwycięża.

Sobotę, jako dzień mniej ważny w obradach kongresu postanowiłem poświęcić zwiedzeniu pięknego Budapesztu. Dzień nie był już taki upalny jak dwa poprzednie, kłębiaste obłoki upiększały niebo, powietrze stało się czyste i pozwalało na dalekie

widoki. Pojechałem na południowy kraniec Budy, do stóp góry św. Gerarda, gdzie spada ona skalisto ku brzegom Dunaju; na niewielkiej wysokości od ziemi widać w skałach grotę naturalną chyba, do złudzenia przypominającą Lourdes.

Nad grotą — krzyż na skale, z prawej strony również na skałach — przyklejony jak gniazdo jaskółcze do załomów skalnych kościół oo. Paulinów, do którego prowadzą strome kamienne schody i krużganki. Z okrągłej baszty-wieży rozlega się melodia Ave Maria wydzwaniana podobnie, jak w Lourdes. Szeregi pielgrzymów snują się po krużgankach. Kościółek niewielki, lecz z niego wąski skalny korytarz wiedzie do całego labiryntu grot, które w tej porze przedstawiały tak piękny widok, że tylko wrażenia z uroczystości w katakumbach rzymskich mogę z nim porównać. Po grotach i załomach skalnych świecą się ołtarze i odprawiają się Msze św. Zda się cały las Mszy św. Czasami jakieś drobne światełko tylko dobywa się ze szczelin skalnych, a gdy się za nim pójdzie, znajdzie się grotę z odprawiającą się Mszą św. Polaków tu pełno, nic dziwnego, są tu bowiem polscy oo. Paulini. Po odbyciu spowiedzi i wysłuchaniu Mszy św, poszedłem krętymi górskimi ścieżkami na szczyt góry. Wkrótce znalazłem się ponad wieżami kościoła i idąc coraz wyżej w pośród przepięknych widoków, bujnej roślinności i błyszczących w słońcu białych skał stanąłem na szczycie u murów cytadeli. Całe miasto, zarówno Peszt jak i Budę widać stąd, jak na dłoni. Królewski Dunaj z szeregiem mostów wiszących, ze statkami płynącymi po nim, dalekie góry i bliskie szczegóły wielkiej stolicy, liczne wieże kościołów, wszystkie skrzydła zamku królewskiego, który stąd jest o wiele piękniejszy niż, gdy się patrzy na niego z dołu z nad brzegów Dunaju, wreszcie urocze wzgórza okalające miasto od zachodu — wszystko to składa się na tak piękny obraz, że chyba w sumie nie ustępuje on Neapolowi, to też tu jak i tam mimowoli cisną się na myśl słowa: Vedere Napoli e poi mori. Góra św. Gerarda jest urządzona turystycznie pierwszorzędnie, może lepiej niż podobne ścieżki w Taorminie lub na Capri. Wygodne dróżki i schodki wiodą nad najstromsze przepaście, galeryjki i ganki znajdują się na najbardziej wysuniętych cyplach skalnych. Z rozkoszą tedy schodziłem ku miejscu, gdzie w otoczeniu marmurowej kolumnady wznosi się ponad wysmukłe wieżyce jednego z najpiękniejszych mostów na Dunaju — mostu

królowej Elżbiety, olbrzymi posąg św. Gerarda, wyciągającego nad miastem prawicę z krzyżem misyjnym. Odpoczywając u stóp pomnika pomyślałem sobie, jaką to jednak cenę ma krew męczeńska dobrego pasterza, który duszę swoją daje za owce swoje. To też nie św. Wojciech lub inni, którzy tu wiarę św. przed Gerardem szerzyli, ale on właśnie, który tu padł z ręki bałwochwalców, zasypany gradem kamieni i przebity włócznią nad wodami Dunaju — on tu panuje duchowo nad Budapesztem. Tak jak św. Piotr w Rzymie, a nie w Jerozolimie, jak św. Wojciech w Polsce, a nie w Czechach lub Węgrzech, tak św. Gerard na Węgrzech a nie w Wenecji, skąd pochodził, odbiera cześć apostoła kraju.

Przejechawszy na drugie wzgórze, na którym wznosi się właściwa Buda zwiedziłem imponujące sale zamku królewskiego, mogące iść śmiało w zawody nawet z lustrzaną salą Wersalu, a potem kościół koronacyjny i przemiłe bastiony rybackie, z których chyba najpiękniej wygląda bielejący w słońcu Parlament i centralna część Pesztu. Po południu zwiedzałem najważniejsze zabytki Pesztu, interesując się przede wszystkim kościołami. Pod tym względem Budapeszt jednakże nie może się mierzyć choćby z naszym Krakowem. Nie posiada tyle starożytności, jakby się tego można było spodziewać. Kościoły to przeważnie budowle nowsze choć nieraz w pięknym i gustownym stylu zwłaszcza nazewnątrz — wnętrza mniej ciekawe. Nie mówiąc o takich, jak Bazylika, lub kościół koronacyjny spotkałem jeden, który mnie szczególnie zaciekawił. Kilka razy przejeżdżając tramwajem lub autobusem widziałem ten starożytny gotyk wrośnięty w ziemię od strony absydy, a gdy szukałem go później od frontu nie znajdowałem. Okazuje się, że trzeba było od frontu wejść do niepokaźnego kościoła w stylu późno-renesansowym, aby wewnątrz znaleźć, jako prezbyterium właściwie, piękny gotyk dawniejszego kościółka, prawdziwie gioiello choć może niedawno odrestaurowane. Nie mając przewodnika nie mogłem się nic o nim bliżej dowiedzieć, lecz sam widok architektury pięknie utrzymanego wnętrza, ołtarza, śliczny grobowiec w lewej nawie i duże piękne figury marmurowe u wejścia przykuwają do siebie zwiedzającego. Moc pomników po pięknych „terach" i bulwarach zwraca na siebie uwagę przede wszystkim swoją wielkością, realnością i prawdą; uderza, że są to w 90 procentach postacie mężczyzn bohaterów narodowych i ludzi

zasłużonych dla kraju. Nie ma tam tej przesady symboliki, która zaczyna dominować i u nas, a która przeważnie kończy się na stawianiu na piedestale nagości, po większej części kobiecej. Węgrzy stawiają pomnik nie symbolowi ale postaci rzeczywistej, a wtedy, gdy trzeba postawić go kobiecie — nie postawią jej przecież nagiej, bo by ją skrzywdzili, a nie uczcili. A mimo to pomnikami Budapesztu zachwyca się cały świat. Tylko w parkach zakładów kąpielowych, lub na nowszych pałacach spotkać można wpływy modernizmu. Budapeszt obfituje w źródła mineralne i zakłady kąpielowe (cieplice) takim jest między innymi olbrzymia wyspa św. Małgorzaty, stanowiąca naturalny rezerwat zieleni i czystego powietrza niedaleko od centrum miasta. Spacer wzdłuż brzegów Dunaju, choć długi, jest również bardzo przyjemny i pouczający. Wnętrze Parlamentu olśniewa swym przepychem, podobnież jak jego architektura zewnętrzna swą harmonią i patyną wieków, a orły polskie-jagiellońskie spotkane w obu salach posiedzeń (sejmu i senatu) wśród herbów dynastyj królewskich mile uderzają oko Polaka. Spośród galerii obrazów, piękne okazy zgromadziła wystawa sztuki religijnej urządzona w związku z Kongresem i Jubileuszem św. Stefana. Pod wieczór w sobotę spadł deszcz, który przyjęliśmy z radością, bo był w porze nieszkodliwej dla nikogo, a odświeżył miasto, znakomicie przygotowując je do walnych niedzielnych uroczystości ostatniego dnia kongresu.

Niedziela przede wszystkim przewyższyła wszystkie inne dni Kongresu ilością pielgrzymów. Przez całą noc szły pociągi popularne i ciągnęły liczne kompanie pątników węgierskich i słowackich. Już o 5-ej rano obudziły nas dźwięki orkiestr i śpiewów, ciągnących na plac Bohaterów pielgrzymek. Budapeszteńczycy prawie, że bali się, co to będzie. „Sehr viele Menschen, sehr viele Menschen" powtarzała łamaną niemczyzną biorąc się za głowę nasza gospodyni domu. Rzeczywiście tłumy ciągnęły bez końca. Podobno rząd węgierski ustalił cenę przejazdu do Budapesztu na 1 pengö 20 fillerów z całego kraju nic więc dziwnego, że kto żyw jechał do stolicy. A wszystko to naprawdę ciągnęło na Kongres. Zorganizowane, pod wodzą swych pasterzy szły najpierw szeregi młodzieży wiejskiej Akcji Katolickiej, które już na godz. 6-tą rano miały wyznaczone posiedzenie w wielkiej sali zebrań plenarnych Kongresu i potem nabożeństwo. Punktualnie o godz. 9-ej rano rozpoczęła się Msza św. na placu Bohaterów, celebrowana przez

Kardynała-Legata. Tym razem zająłem miejsce na trybunach, przeznaczonych dla duchowieństwa u stóp kolumnady Wielkiego Ołtarza, skąd coprawda nie było widać całego ołtarza, lecz za to nie tylko cały plac Bohaterów ale i place po drugiej stronie kolumnady zapełnione niezliczonymi tłumami. Tuż przed nami między Wielkim Ołtarzem a kolumną centralną, dużą połać placu zajęły chóry i orkiestry złączone w jedno z 1200 jednostek chóralnych Budapesztu i okolic. Prócz tego śpiewała po gregoriańsku złożona z 500 kleryków Schola Cantorum Sabariensis. Potężne „Christus vincit“ podchwycone za chórami przez tłumy rozpoczęło nabożeństwo.

Gdy się rozległy piękne tony „Cibavit eos“ znowu długie szeregi kapłanów z ministrantami poszły między tłumy rozdzielać Panem de coelo. Przepiękny chorał Bárdosa „Alleluja“ wykonany pod kierownictwem samego kompozytora brzmiał niezwykle uroczyście i wzruszająco. Podobnież inne śpiewy. To też aniśmy się spostrzegli, jak dobiegła końca Najśw. Ofiara i wzbił się pod niebo potężny hymn kongresowy, podchwycony znowu przez tłumy, a śpiewany przez każdy naród we własnym języku, co w niczym nie mąciło wspólnej melodii, owszem zlewało się w jeden potężny a mocarny głos „jako głos wiela wód“. Trzeba przyznać, że hymn ten tłumaczony na polski przez p. Miłaszewskiego nie jest właściwie tłumaczeniem, lecz nową kompozycją, której tylko myśli zasadnicze zaczerpnięte są z hymnu łacińskiego. Ale też w niektórych momentach tłumaczenie to przewyższa nawet piękno oryginału np. w refrenie. Gdy skończono hymn — głośniki zapowiedziały, że wkrótce przemówi Ojciec św. — Niezadługo rozległy się Jego poważne, dostojne słowa donośnie rozgłaszane przez megafony. Ze wzruszeniem odebrano błogosławieństwo z ust samego Następcy św. Piotra, po czym Legat udzielił obecnym odpustu zupełnego, a tłum różnojęzyczny długo jeszcze wiwatował na cześć Papieża, Jego Legata i schodzących z podium kardynałów.

Zakończeniem kongresu była uroczysta procesja z Najśw. Sakramentem w niedzielę po południu z Bazyliki św. Stefana do placu Bohaterów. Uczestniczyły w niej tak samo tylko reprezentacje stowarzyszeń katolickich oraz poszczególnych narodów, zakonów, duchowieństwa: prałaci, biskupi i kardynałowie. Reprezentacja polska niosła między innymi duży napis „Polonia semper

fidelis". Reszta pielgrzymów i uczestników kongresu stała albo w szpalerze parokilometrowej trasy pochodu lub oczekiwała na placu Bohaterów. Wtedy poraz pierwszy zobaczyliśmy reprezentację niemiecką ze swastyką, która właściwie przyjechała na jutrzejszy jubileusz św. Stefana. Zakończenie kongresu zapowiadało się wspaniale, niestety, w ostatniej chwili, kiedy już środek procesji znajdował się niedaleko placu Bohaterów niespodziewanie nadciągnęła burza i głos grzmotów zmieszał się z głosem werblów orkiestry witającej procesję.

Nie wielu było tak przezornych jak siostry zakonne, których grupy na placu pokryły się natychmiast tak gęstą przykrywą z parasoli, że wyglądały jak wyspy-oazy wśród morza odkrytych głów. Mimo to nikt prawie nie odszedł z placu, jedynie, kto mógł szukał schronienia pod kolumnadami lub murami budowli okalających plac.

Procesję zakończono normalnie, tylko mowę Legata odłożono. Była wygłoszona później przez Radio. Tak zakończył się 34 Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny. Jego znaczenie może być ocenione dopiero później po zebraniu dokładnych statystyk i zsumowaniu wszystkich tak obfitych przejawów działalności i owocności. Ale wrażenie, jakie wywarł na nas obecnych było wielkie. W czasach, kiedy tak ceni się i przecenia nieraz wartość zbiorowych, manifestacyj i zapału tłumów, kiedy specjalnymi środkami aranżuje się sztucznie po większej części entuzjazmy w państwach totalnych, szczery, spontaniczny odruch setek tysięcy wiernych, nie pociągniętych przecież żadnymi względami materialnymi, owszem muszących ponosić w związku z tym pewne ofiary i wydatki, to naprawdę „non sunt loquelae neque sermones, quorum non audiantur voces".

Oficjalna pielgrzymka polska odjechała tegoż dnia wieczorem. Kto był w tym szczęśliwym położeniu, że mógł zostać na dzień następny w Budapeszcie, ten zobaczył jeszcze jedną przepiękną rzecz: otwarcie dziewięćsetletniego jubileuszu św. Stefana na placu przed Parlamentem. Było na co popatrzeć. Na pięknie udekorowanym, placu i tak już z natury uroczym, — może najpiękniejszym w Budapeszcie, zbudowano na tle Parlamentu olbrzymi ołtarz z obszernymi trybunami, które zajął kwiat dostojników Kościoła — wszyscy zdaje mi się kardynałowie zostali na tę uroczystość — i państwa. Regent z małżonką, Rząd w komplecie, wszyscy wyżsi

urzędnicy i dypłomacja i cała arystokracja węgierska, wystąpili w strojach narodowych. Uroczystość — Msza św. potem procesja, odbywały się z iście królewskim przepychem. Gdy dostałem się na trybunę naprzeciwko Parlamentu miałem wrażenie, że mam przed sobą żywą, rzeczywistą scenę z obrazu naszego Matejki w rodzaju Hołd pruski lub Zawieszenie dzwonu Zygmunta, to samo w naturze. Te królewskie stroje węgierskie w niczym chyba nie ustępują słynnym strojom koronacyjnym angielskim. Czego tam nie było, nawet rycerzy pancernych zobaczyć było można, a podobnież w stroje narodowe ubrane były i niewiasty począwszy od pani Horthy; las sztandarów, delegacje młodzieży, stanów, goście zagraniczni, wspaniałe gwardie, wojsko i piękna pogoda dopełniały całości.

Na zakończenie trzeba bezwzględnie podnieść doskonałą organizację techniczną zjazdu przez Węgrów, wyszkolenie policji, służby autobusowej i tramwajowej oraz harcerstwa, ich uprzejmość i godność w zachowaniu się. Gdy pierwszego, czy drugiego dnia nie bardzo jeszcze orientowałem się w tym olbrzymim mieście, wystarczyło jakiemukolwiek tramwajarzowi czy policjantowi lub wogóle świeckiemu powiedzieć nazwę placu lub ulicy, gdzie chcę jechać — a poprostu podawano mnie sobie z rąk do rąk poprzez różne przesiadki i skrzyżowania linii, prowadzono przez olbrzymie place na odpowiednie przystanki i pilnowano ze szczególną troską, abym w odpowiednim miejscu wysiadł. To było nadzwyczajne. A jakżeż podziwiać trzeba było sprawność i dogodność środków lokomocji miejskiej. Przy takim olbrzymim ruchu, przy tylu tysiącach pielgrzymek, przy tak dużych przestrzeniach jakżeż szybko można się było przenieść z miejsca na miejsce, zwłaszcza autobusami. Przewidziane było wszystko do najdrobniejszego szczegółu, każdy dostawał z góry plan kursowania tramwajów i autobusów na wszystkie dni kongresu, a za 2 pengö można było jeździć 2 dni wszystkimi tramwajami bez ograniczenia. A samych linii tramwajowych ma Budapeszt ok. 90 i idą one nieraz daleko w okoliczne wzgórza. I tak np. popatrzywszy się z wałów Budy na piękne góry okalające miasto od północo-zach. pojechałem w ich stronę; tymczasem tramwaj dowozi mnie prawie w samo ich serce, daleko od miasta w wysoką wąską dolinkę wciśniętą między skały i zbocza gór: po paru minutach drogi jestem wśród uroczej okolicy górskiej; świeża bujna zieleń, radosny świe-

got ptactwa, czyste, rzeźwiące powietrze, zapach łąk i kwiecia, piękne widoki i doskonałe ścieżki, cisza i swoboda dają obraz wymarzonego letniska pierwszej klasy. W pobliżu rzeczywiście znajduję kuracyjne osiedle.

Trudno było stąd odjeżdżać, a jeszcze na dodatek — już siedząc na przystanku tramwajowym słyszę z pobliża tak piękną muzykę cygańską — jakiej nie słyszałem w Budapeszcie tak, iż z przyjemnością przepuszczam kilka tramwajów, którymi mam jechać. Niestety nadeszła pora odjazdu. Wyjeżdżaliśmy syci wrażeń i wzruszeń, zadowoleni w pełni. Budapeszt dał nam w dniach Kongresu o wiele więcej, że się tak wyrażę, niż miał, bo dał, nie mówiąc już o uroczystościach kongresowych, całe Węgry w swym bogatym folklorze, można tu było widzieć wszystkie piękne i różnorodne stroje ludowe, Węgrów zwłaszcza i Słowaków, zarówno kobiece jak i męskie tak, że chyba podróż ta wystarczyła za niejedną wyprawę w Pusztę węgierską, góry słowackie lub równiny rumuńskie. To też pożegnanie na dworcu było niezwykle serdeczne. Okrzykom „Eelien Madjarorsaag" a z peronu „Niech żyje Polska" nie było końca. I tak aż do ostatniej stacji węgierskiej. Wielu pozawierało szczere znajomości z rodzinami węgierskimi. Mnóstwo Węgrów wybiera się do Polski i pragnie, żeby niedługo Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny odbył się w Warszawie. Zmęczeni lecz zadowoleni zasypialiśmy przy miarowym stukocie kół pociągu i ustawicznie dźwięczącej w uszach melodii hymnu kongresowego.

Hymn narodów bije cudnie
Z ziemi aż pod nieba próg.
Północ, zachód, wschód, południe
Pod chorągiew zwołał Bóg.

Chlebem żywym Bóg jednoczy
Potargany wojną świat;
Na ludzkości czele kroczy
Chrystus Król, nasz Wódz i Brat.

Ks. Dr. K. Konieczny.

Znaczenie Łowicza dla dziejów Kościoła w Polsce [1]).

Zachodnia część Mazowsza, położona nad Bzurą, nie należała do krain zbytnio dostępnych dla ludzi. Słynne bory i puszcze mazowieckie trzymały tu straż u bram Mazowsza, a szeroko roz-

[1]) Zamierzając wkrótce wydać monografię o kapitule łowickiej, która wybitną rolę odegrała przy boku Prymasów Królestwa Polskiego w dawnej Rzeczypospolitej chcemy w niniejszym artykule poświęcić trochę uwagi

łana Bzura, obejmując ramionami nieprzebyte lasy w tych stronach, nasycała wylewami grunt nizinny i tworzyła grząskie błota. To też nie każdy myśliwy zapuszczał się w te okolice, groźne i niebezpieczne, choć pełne zwierza i ptactwa.

Polowanie, jeżeli miało przynieść obfitsze plony, należało tu organizować na większą skalę, aniżeli gdzie indziej. Mógł to czynić książe panujący, urządzając coś w rodzaju wyprawy myśliwskiej, w otoczeniu służby dworskiej i rycerstwa.

W głębi właśnie takiej puszczy, nad Bzurą, stał gród książęcy — ośrodek władzy i panowania nad mało zaludnioną ziemią Mazurów. Miał się zwać od niepamiętnych czasów Łowisko, czy Łowisk, a później zmieniony na Łowicz. Wystawiony z drzewa zamek otwierał swoje podwoje dla zjeżdżającego księcia na łowy, a po jego odjeździe znowu zapadał w ciszę kilkumiesięczną. Owe łowy dały właśnie początek istnieniu i nazwie późniejszego miasta Łowicza.

Obok grodu już w XI wieku musiało tu powstać większe jakieś osiedle ludzkie, gdyż dla mieszkańców około roku 1100, jak głosi tablica erekcyjna kolegiaty, pomyślał książę o wybudowaniu kościoła dla miejscowej ludności. Była to pierwsza parafia łowicka i zarazem świątynia zamkowa, na której gruzach stanęła potem kolegiata.

Łowicz i jego okolice były w terenie archidiecezji gnieźnieńskiej. Dawne uposażenie Kościoła w dużej mierze obok dziesięcin — to grunta, jakimi oddarowywali dostojników kościelnych książęta panujący. Musiał monarcha Polski najpóźniej w XII wieku zapisać Kościołowi sporo ziemi i lasów w okolicach Łowicza, skoro Innocenty II w bulli z dnia 7 lipca 1136 roku, zatwierdzając szereg darowizn na rzecz arcybiskupów gnieźnieńskich, wymienia pośród nich i Łowicz. Możliwe, że arcybiskupi gnieźnieńscy po wskrzeszeniu hierarchii kościelnej w Polsce za króla Bolesława Śmiałego już wtedy otrzymali tutaj duży szmat borów łowickich na swoje utrzymanie. Władysław Herman, Bolesław Krzywousty i inni darowizny stopniowo zwiększali. W okresie zaś dzielnicowym po śmierci Bolesława Krzywoustego książęta na wyścigi darzyli arcybiskupów gnieźnieńskich i biskupów jeszcze

---

Łowiczowi, ponieważ z nim historia połączyła tradycję ordynariuszowską arcybiskupów gnieźnieńskich w dobie panowania Jagiellonów i królów elekcyjnych w Polsce.

większymi dobrami ziemskimi, chcąc zyskać ich poparcie w walkach domowych. Dlatego przy końcu XII wieku prawie już cała okolica łowicka stała się własnością arcybiskupów gnieźnieńskich. Na darowanych Kościołowi posiadłościach ciążyły przecież rozmaite zobowiązania względem państwa. Książęta mazowieccy, ponieważ Łowicz należał do Mazowsza, uważali się nadal za suwerennych panów Łowicza, a arcybiskupów traktowali na równi z innymi możnowładcami, jako swoich podwładnych, których obligowało złożenie hołdu i opłaty do skarbca książęcego. Te ciężary lenne na Łowiczu i okolicznych dobrach kościelnych stały się kością niezgody [1]) między arcybiskupami i książętami mazowieckimi.

Arcybiskupi przy lada okazji korzystali, żeby zrzucić z siebie świadczenia na rzecz książąt mazowieckich. Książęta ci znowu odpowiadali na takie postępowanie częstymi najazdami i grabieżą dóbr duchownych.

Dobra łowickie mimo wszystko pod dobroczynną opieką arcybiskupów stale wzrastały i zaludniały się, tworząc coraz większą ilość osad ludzkich i dając niebywałe przed tym dochody. To jeszcze bardziej rozłakomiało w XII i XIII wieku książąt Mazowsza tak, iż poczęli żałować poprzednio poczynionych darowizn. Skutkiem tego oczywiście nie taili swoich zamiarów, że pragnęliby dla siebie Łowicz rewindykować.

Dawne więc obszary łowickie, Kościołowi gnieźnieńskiemu ofiarowane przez książąt Leszka krakowskiego, Konrada mazowieckiego, Władysława kaliskiego i Kazimierza opolskiego, tenże Konrad mazowiecki około 1235 roku najechał i zajął. Nie myślał też potem wcale o ich oddaniu arcybiskupowi.

Dopiero pewien przypadek dał sposobność Gnieznu do odebrania majątków łowickich. Mianowicie — niepohamowany Konrad znienawidził Jana Czaplę, prałata scholastyka kapituły płockiej i kujawskiej, posądzając go o knowania z innymi książętami. W roku 1239 zawezwał podejrzanego do siebie, poddał torturom i kazał powiesić. Wina Czapli nie była udowodniona i stąd ogromne oburzenie na księcia wśród ogółu duchowieństwa i wiernych we wszystkich dzielnicach ówczesnej Polski. Arcybiskup Pełka,

[1]) Por.: Jan Korwin Kochanowski, Codex diplomaticus et commemorationum Masoviae generalis, tom I, Varsoviae 1919, str. 423, 9

jako metropolita, pamiętając poprzednio już krzywdy Kościołowi wyrządzone i biskup płocki, Andrzej, świadek ostatniej zbrodni, rzucili klątwę na księcia Konrada i interdykt na całą diecezję płocką. Wzburzenie poddanych wzrastało z dnia na dzień tak, że panowanie księcia Konrada na Mazowszu było ze wszech miar zagrożone buntem podwładnych. Dumny książę widział się zmuszonym upokorzyć przed arcybiskupem. Postanowił jednak za pośrednictwem biskupa płockiego Andrzeja szukać zgody z Kościołem. Sam osobiście z tym ostatnim w roku 1240 przybył do Łęczycy, gdzie zjechał Pełka arcybiskup i tutaj prosił o zdjęcie kar kościelnych. Przyobiecywał poprawę i wynagrodzenie za gwałty względem Kościoła. Pełka teraz dyktował warunki pokoju: a więc zwrot Łowicza i innych majątków zagrabionych Gnieznu z powtórzeniem wieczystej darowizny tych ziem, oraz pewne nadania gruntowe i swobody diecezji płockiej i włocławskiej. Na wszystko zgodził się Konrad [1]). Dodał tylko od siebie pewne wymagania: arcybiskupi gnieźnieńscy mają odtąd tytułować się urodzonymi kanonikami płockimi i płacić roczną daninę z Łowicza do skarbca książęcego, jako wyraz poddaństwa w stosunku do książąt mazowieckich. Po ugodzie klątwę kościelną i interdykt zdjęto.

Powtórne objęcie Łowicza przez arcybiskupów gnieźnieńskich nie gwarantowało im zupełnej swobody w urządzeniu majątków kościelnych. Książęta mazowieccy w dalszym ciągu wtrącali się do administracji tych dóbr. To też arcybiskupi szukali przeciwko nim oparcia w książętach krakowskich, a potem u królów Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego. Za cenę scalenia Wielkopolski z Małopolską pod jednym berłem domagali się od polskich monarchów gwarancji posiadłości łowickich.

Tak więc czytamy w jednej z ksiąg [2]) Archiwum Prymasowskiego Archidiecezji Warszawskiej, noszącej tytuł: „Opis ogólny wszystkich dóbr stołu arcybiskupiego gnieźnieńskiego . . .", że gdy przywileje, tak od królów, jak i od książąt, Kościołowi Gnieźnieńskiemu nadane, z biegiem czasu uległy zniszczeniu w pośród zamieszek wojennych, przezorny arcybiskup gnieźnieński, Jarosław

---

[1]) Jan Kochanowski, dzieło cytowane, str. 459.

[2]) „Descriptio generalis omnium bonorum mensae archiepiscopalis Gnesnensis in demandatae hyphothecae eorundem confecta, 1796 a." znajdują się tu kopie najstarszych dokumentów dotyczących Łowicza, skrzętnie odpisane z archiwum Kapituły Gnieźnieńskiej na życzenie arcybiskupa Ignacego Krasickiego.

Bogoria Skotnicki, razem z kapitułą metropolitalną, zwrócił się do Kazimierza Wielkiego, ażeby ten, odpowiednio do prawa patronatu nad Kościołem Gnieźnieńskim, swoją powagą królewską zatracone przywileje odnowił a inne zreformował. Wydaje się rzeczą prawdopodobną, że i w tym czasie prawo własności arcybiskupiej nad Łowiczem kwestionowano, a niektóre przywileje uważano za tendencyjnie sfałszowane.

Kazimierz Wielki jednakże chcąc pozyskać sobie ważne oparcie w Wielkopolsce, jakim był zawsze arcybiskup gnieźnieński, niezbyt surowo badał owe nadania tradycyjne. W roku 1357 wszystkie przywileje, swobody, zapisy i darowizny w jakiejkolwiek postaci i przez kogokolwiek ustąpione metropolii gnieźnieńskiej potwierdził i swoim wieczystym przywilejem powtórnie nadał i umocnił. Odnośnie zaś do Łowicza, który nie znajdował się na terenie jego królestwa, lecz w obrębie księstw mazowieckich, jako suweren Piastów na Mazowszu, osądził, że dobra arcybiskupie specjalnie uwalnia od wszelkiej jurysdykcji i panowania jakichkolwiek książąt (przywilej głosi: „Ab omni iurisdictione et dominio quorumlibet pricipum penitus liberavit"). Była to klauzula skierowana przeciwko książętom mazowieckim.

Ponieważ zaś tenże arcybiskup nie był jeszcze pewien całkowitego zabezpieczenia posiadłości łowickich przez sam przywilej królewski, dlatego w dwa lata potem t. j. w roku 1359 zwrócił się do Ziemowita Trojdena, księcia na Mazowszu, ażeby raczył dokument kazimierzowski przyjąć do wiadomości i łaskawie ze swej strony potwierdzić. Na skutek tych zabiegów książe, być może w nadziei, iż przy poparciu arcybiskupa dostanie się na tron królewski po bezpotomnej śmierci Kazimierza Wielkiego, nadanie od siebie ponowił, jako władca Mazowsza. Wyznaczył przecież arcybiskupom składanie jednej grzywny złota (marca auri) każdego nowego roku do skarbca książęcego. Miało to być oznaką w dalszym ciągu niewygasłego prawa książąt do panowania nad Łowiczem, który w razie niedotrzymania wierności przez metropolitów gnieźnieńskich, mógł być rewindykowany. Jakoż niejednokrotnie potem zdarzały się także wypadki zbrojnej interwencji książąt mazowieckich z Płocka w Łowiczu.

Dopiero po przyłączeniu Mazowsza do Rzeczypospolitej za Kazimierza Jagiellończyka, gdy linia tamtejszych książąt wymarła, arcybiskupi gnieźnieńscy znaleźli się w lepszych warunkach. Za-

raz też arcybiskup Jan ze Sprowy w roku 1463 zwrócił się do króla o potwierdzenie darowizny Łowicza, jaką poczynił już Ziemowit Trojden. Kazimierz Jagiellończyk, jako król polski i książę mazowiecki na Płocku, przychylił się do powyższej prośby. Zwolnił także arcybiskupa od wszelkiej daniny. Takież prawie potwierdzenie uzyskał jeszcze raz arcybiskup Mikołaj Dzierzgowski w roku 1548 od króla Zygmunta I, jako od króla Polski i księcia mazowieckiego na Warszawie. Król Zygmunt bowiem zajął wreszcie południowe Mazowsze z Warszawą po wymarciu Piastów z linii warszawskiej († 1526).

Tak więc ci trzej arcybiskupi Jarosław Bogoria Skotnicki, Jan ze Sprowy, Mikołaj Dzierzgowski przez dyplomatyczne posunięcia na dworach królów polskich i książąt mazowieckich zapewnili sobie posiadanie Łowicza i stworzenie księstwa. Swoim następcom przekazali już przywileje potwierdzające to księstwo i raz wytkniętą drogę do utrzymania zdobytego stanowiska w państwie polskim. Pierwszy to Jarosław Skotnicki powziął oryginalną myśl uniezależnienia posiadłości łowickich od władzy państwowej, dlatego dotychczas uchodzi za twórcę i organizatora księstwa. Następnie arcybiskupi wykorzystują każdą sposobność, aby tylko umocnić dzieło swojego poprzednika i tytułują się już książętami.

Zachodzi przecież pytanie, dlaczego właściwie tak cenili Łowicz arcybiskupi gnieźnieńscy, że gotowi byli ponieść największe ofiary dla obrony jego posiadania. Czyżby chodziło tylko o obronę interesów materialnych metropolii gnieźnieńskiej? Czy może o coś więcej?

Bliższe zapoznanie się z dziejami Łowicza prowadzi nas do głębszych nieco wniosków. Oczywiście dochody, jakie dawały majątki łowickie, z dnia na dzień zwiększające się, przypominały arcybiskupom w okresie rozbicia dzielnicowego Polski o obowiązku obrony prawej własności Kościoła. Ale z chwilą gdy Polska jednoczyła się pod silną ręką Łokietka i mądrymi rządami jego syna — Kazimierza, przybyły jeszcze inne względy, które nakazywały wprost większą uwagę zwrócić na Łowicz. Arcybiskupi gnieźnieńscy, coraz częściej przebywający w Krakowie na dworze królewskim, zbyt daleko mieli do Gniezna, żeby tam zaglądać i załatwiać sprawy administracyjne archidiecezji. Ośrodek terytorialny tej archidiecezji bynajmniej nie spoczywał w Gnieźnie, lecz

w okolicach Łowicza i Łęczycy. Stąd niejednokrotnie słyszymy o ich pobycie częstym w tych 2 właśnie miejscowościach, gdzie wydają różne dokumenta i rozporządzenia arcybiskupie. Po załatwieniu spraw ordynariuszowskich wracali do Krakowa i przy boku królewskim oddawali się zajęciom politycznym. Bliskość więc Krakowa podnosiła znaczenie Łowicza a pomniejszała wartość Gniezna i usuwała to ostatnie miasto na dalszy plan. W tym też kierunku idzie dalszy rozwój wypadków.

Celem podniesienia jeszcze bardziej powagi i uroku władzy metropolitalnej arcybiskupów gnieźnieńskich, arcybiskup Jarosław Skotnicki postarał się u Kazimierza Wielkiego, obok potwierdzenia posiadłości Łowicza, o całkowite wyjęcie tej miejscowości i pobliskich okolic z pod władzy świeckiej, a poddanie tylko władzy arcybiskupiej. Wieś Łowicz wyniósł około 1350 roku do godności miasta, co książe mazowiecki Ziemowit III w roku 1359 osobnym aktem wydanym w Skierniewicach potwierdził na usilną prośbę arcybiskupa [1]). To stało się podstawą niezależnego stanowiska metropolitów gnieźnieńskich w stosunku do króla.

Teren łowicki przemianowany na księstwo otrzymuje osobną organizację w państwie polskim. Stolica księstwa, Łowicz, urasta w następstwie wydarzeń do roli wielkiego miasta, które sławą i znaczeniem przytłumia coraz więcej Gniezno. Tak się ewolucja stosunków kościelno-państwowych układa na korzyść Łowicza w okresie panowania ostatnich Piastów i Jagiellonów w Polsce.

Ale jakże było w okresie królów elekcyjnych po wymarciu dynastii jagiellońskiej?

W odpowiedzi na to pytanie musimy skonstatować, że to samo szczęście, ale jeszcze w większym stopniu, sprzyjało Łowiczowi. Przeniesienie bowiem stolicy państwa przez Zygmunta III z Krakowa do Warszawy niezmiernie podniosło walory Łowicza, który znalazł się teraz o wiele bliżej stolicy, aniżeli dawniej. Nabrał więc ogromnego znaczenia w oczach arcybiskupów gnieźnieńskich. Trakt wiodący z Warszawy do Łowicza — to trakt historyczny, przez który często mknęła rozstawnymi końmi karoca prymasowska wraz z bogatą świtą książęcego dworu.

Arcybiskupi gnieźnieńscy posiedli w rezultacie dwa dogodne ośrodki będące w bliskości siebie, jako Prymasi Królestwa Pol-

---

[1]) Porównaj: Romuald Oczykowski, Przechadzka po Łowiczu, wydanie II., 1922 r., str. 4 i 5.

skiego czuli się oddawna w obowiązku zamieszkiwać w stolicy państwa, by tutaj należycie reprezentować i bronić interesów Kościoła polskiego przy rządzie królewskim. Warszawa przeto stała się także stolicą prymasowską. Dla wygody prymasów w Łowiczu skupiono cały zarząd archidiecezji gnieźnieńskiej; tutaj przeniesiono z Gniezna konsystorz generalny, założono seminarium duchowne i dom dla emerytowanych kapłanów, oraz rozbudowano zamek arcybiskupów. Stolicą więc drugą arcybiskupów gnieźnieńskich — ordynariuszowską, stał się Łowicz. Do Łowicza właśnie dojeżdżał prymas ze stolicy państwa celem załatwienia koniecznych spraw administracyjnych swej archidiecezji.

Ks. Władysław Kwiatkowski.

Kilka słów o grafice.

Zanim wynaleziono druk czcionkowy w r. 1440 — 1450, drukowano książki za pomocą klisz rytowanych na drzewie. Robiono przy tym ilustracje i ozdobne litery więc tym samym drzeworyt jest najstarszą ilustracją książki. Jest to najdawniejsza technika graficzna, którą używano wyłącznie jako ilustrację do XVIII wieku, po czym obok drzeworytu zastosowano miedzioryt, a w XIX wieku obok drzeworytu staloryt i litografię. XIX wiek jest okresem rozwoju oświaty i czytelnictwa wśród szerokich mas, w związku z czym, wzmaga się ruch na polu wydawnictw ilustrowanych. Nim wynaleziono w ostatnich dziesiątkach lat mechaniczny sposób reprodukcji fotochemigraficznej, która zaspokaja łatwo potrzeby w tej dziedzinie, czyniły to techniki graficzne oryginalne, wykonywane przez artystów.

Dziś grafika odgrywa inną rolę, inne też są jej zadania. Obecnie odbitki graficzne z oryginalnych płyt stosuje się przy wydawnictwach prawdziwie artystycznych i zbytkownych, wydawanych w niewielkiej ilości egzemplarzy, w tekach jako cykle ilustracyjne, w ekslibrisach, a głównie jako dekoracja wnętrz.

Odbitki z oryginalnej płyty (czy to będzie drzeworyt, sztych czy litografia), bezpośrednio zetknęły się z twórczą pracą artysty, są więc dziełami sztuki i jako takie, mają swoją wartość artystyczną. Ze względu na powielanie, co jest jednym z atutów

grafiki, odbitki oryginalne mają ceny dostępne dla każdego, a trzeba przyznać że znacznie ciekawiej na ścianie wygląda drzeworyt oryginalny aniżeli reprodukcja fotochemigraficzna, lub marny obraz.

Przez wynalazek reprodukcji mechanicznej, chemigraficznej, otworzyło się nowe pole pracy dla artystów grafików, którzy muszą zadość uczynić wielkim zapotrzebowaniom przez wykonywanie projektów, które powielone rozchodzą się w tysiącach egzemplarzy. Grafika jest to sztuka najściślej związana z życiem, biorąca w nim czynny udział, będąca wyrazem myśli ludzkiej we wszystkich jej przejawach. Grafika odtworzyć zdoła ilustracją świat radosny czy bolesny, liryczny czy patetyczny, tragiczny, satyryczny, bohaterski itd. Grafika służy najwznioślejszym ideom, jak religii, nauce, polityce, historii, literaturze, a przy tym wszelkim dziedzinom związanym z życiem codziennym, jako reklamy, plakaty, ulotki, blankiety, dyplomy, znaczki pocztowe, banknoty, akcje itp. Służy jako propaganda i reklama, rozchodząc się po całym świecie, docierając do najodleglejszych zakątków kuli ziemskiej, mówi o kraju z którego pochodzi językiem zrozumiałym dla cudzoziemca, trafia do wyobraźni człowieka kulturalnego i wykształconego, zarówno jak do najprostszego, analfabety i dziecka.

Wpływ grafiki na kulturę jest ogromny, a historia grafiki jest historią kultury narodu, jest najistotniejszym odbiciem duszy każdego kraju. Grafika jest nie tylko sztuką czystą ale i użytkową, z którą się stykamy na każdym kroku.

Istnieją trzy rodzaje płyt graficznych, z których rysunek się powiela na papierze. Różnią się od siebie zasadniczo, gdyż w odmienny sposób przylega do nich farba drukarska. Są to: 1) **wypukło-druki** albo ryt wypukły, jak drzeworyt, polegające na tym, że wycinając rysunek usuwa się jasne części na desce, a farba pokrywa tylko wypukłe części, 2) **wklęsło-druki** albo ryt wklęsły, jak sztych, akwaforta i inne metalowe techniki graficzne, gdzie rysunek jest wgłębiony i tam zostaje farba drukarska, która pod ciężką prasą odbita zostaje na papierze. 3) **płaskodruki** czyli litografia, polegająca na tym, że cała płyta jest gładka a powierzchnię kamienia tak się preparuje, aby tłusta farba drukarska przylgnęła tylko do zarysowanych miejsc i oddała wierną odbitkę rysunku, wykonanego przez artystę.

Artysta grafik rozporządzając technikami graficznymi i naturalnymi możliwościami fakturowymi wydobywa efekty i walory, których osiągnąć nie można za pomocą ołówka, pióra czy pędzla.

1) **Wypukło-druki.** Drzeworyt, to najdawniejsza forma grafiki, znana od średniowiecza. Do naszych czasów przechowały się obrazki przeważnie treści religijnej.

Jednym z najdawniejszych zabytków drzeworytnictwa jest „Biblia Pauperum" t. zw. zbiór obrazków przedstawiających sceny ze Starego i Nowego Testamentu.

Pierwsze wydanie Biblii Ubogich ukazało się w 1410 r. wykonane techniką drzeworytniczną, co umożliwiło powielanie i uczyniło ją dostępniejszą od rękopisów. Biblia przeznaczona była dla ubogiej ludności nie umiejącej czytać, która łatwiej rozumiała obrazowo przedstawione tajemnice wiary tłumaczone jej przez uczonych duchownych. Rysunki do Biblii zawdzięczamy prawdopodobnie Szkole Jana Van Eycka.

Biblia Ubogich składała się z 40 arkuszy, z których każdy podzielony jest na 3 pola. W środku znajduje się główna scena np. Ostatnia Wieczerza, a po dwuch stronach symbole Eucharystii ze Starego Testamentu. Z lewej Arcykapłan Melchizedech ofiarujący chleb i wino, a z prawej manna padająca z nieba dla nakarmienia Izraelitów; u góry i u dołu postacie proroków, których słowa przytoczone są w tekście tłumaczącym ilustracje.

Biblia ta była bardzo rozpowszechniona i popularna wśród wiernych, na niej uczyły się liczne pokolenia historii Świętej i tajemnic wiary — była podręcznikiem dla kaznodziei. Z niej czerpali artyści tematy religijne dla swoich obrazów, rzeźb, witraży i tkanin kościelnych. Ona dała początek drzeworytowi popularnemu i ludowemu.

Spotykamy też w dawnych ilustracjach odbicia wypadków współczesnych, bądź faktów historycznych, tematy obyczajowe zaczerpnięte z życia, satyryczne, ilustracje przysłów, wizerunki postaci historycznych itp.

Drzeworyt był najstarszą ilustracją książki. Trudno zrozumieć czemu wydawcy nie notowali nazwisk artystów ilustratorów, rysowników i sztycharzy. Nie spodziewali się prawdopodobnie, że w przyszłości całą główną wartość książki będzie stanowić ilustracja w niej zawarta, gdyż wiele książek naukowych i literac-

kich z biegiem lat się przeżyło i straciło na wartości a dzieła sztuki w nich zawarte zostały docenione dopiero przez następne pokolenia. Dziś drzeworyt doszedł do szczytu kunsztu finezyjnego przez zastosowanie klocka sztorcowego t. j. poprzecznie przeciętego pnia twardego drzewa bukszpanu czy dzikiej gruszy. Na tym materiale słoje nie utrudniają roboty i umożliwione jest subtelne sztychowanie rysunku we wszystkich kierunkach.

W Polsce spotykamy drzeworyt ludowy datujący się od XVII w. Cechuje go zadziwiająca śmiałość kompozycji, ogromna ekspresja nadająca wyraz i siłę, a przy tym wybitna dekoratywność i ornamentyka odgrywa dominującą rolę. Drzeworyt podbarwiano też często intensywnymi kolorami.

Tematyka interesująca artystów ludowych była głównie treści religijnej; widzimy wizerunki świętych i patronów miejscowych.

Obrazki te sprzedawane były na jarmarkach, odpustach, oraz roznoszone przez wędrownych artystów.

Drzeworyt ludowy posiada wdzięk i urok prymitywu i wywarł znaczny wpływ na późniejszy rozwój tego działu sztuki w naszym kraju.

Polski drzeworyt ma charakter odrębny od drzeworytów innych krajów, znać w nim zazębianie się wpływów kultury Wschodu i Zachodu . . .

Twórcą odrodzonego drzeworytu polskiego jest Władysław Skoczylas, laureat olimpijski. Oparł się on w swej twórczości artystycznej o polski drzeworyt ludowy, mający swą starą tradycję, nadał więc tej sztuce charakter indywidualnie polski i czysto narodowy. Drzeworyt jest jedną z najcharakterystyczniejszych sztuk plastycznych w Polsce, a Polska stała się ogniskiem ruchu artystycznego w tej dziedzinie. Nasi artyści zainicjowali międzynarodowe wystawy drzeworytów, odbywające się w Warszawie, na które graficy całego świata przysyłają swoje prace. Krytycy zagraniczni twierdzą, że drzeworytnictwo jest sztuką narodów słowiańskich, a Polska w tym kunszcie przoduje i jej przedstawiciele na wszystkich wystawach i olimpiadach otrzymują pierwsze nagrody i cieszą się ogromnym uznaniem.

2) **Wklęsło-druki.** Miedzioryt powstał w XV wieku, wynaleziony przez złotnika Tomasza Maso Finiguerra, Włocha, jednak

znajduje się w muzeum berlińskim grawiura wykonana tą techniką z datą wcześniejszą, przedstawiająca scenę Biczowania Chrystusa.

Złotnicy grawerowali subtelne rysunki na małych płytach złotych lub srebrnych, a chcąc sprawdzić swoją robotę lub zachować rysunek, z płyty odbijali ją na papierze i to dało początek sztychowi. Następnie wykonywano sztychy na blasze miedzianej, które nazwano miedziorytami, dziś używa się powszechnie blachy cynkowej. W następnych wiekach wprowadzono różne odmiany technik, jak akwaforta, gdzie rysunek wykonany na blasze pokrytej woskiem trawiony jest kwasem. Wynalezienie tych technik kwasorytowych przypisują Dürerowi, lecz znane są wcześniejsze odbitki z płyty trawionej przez Wacława z Ołomuńca, jemu więc ten wynalazek zawdzięczamy. Najsławniejsze są sztychy wielobarwne angielskie, a epoką największego rozkwitu sztychu i innych technik graficznych na metalu był XVIII wiek.

3) **Płasko-druki.** Litografia od słowa greckiego „lithos“, — kamień, wynaleziona przez Sonnefeldera w końcu XIX wieku, który używał kamieni z kopalni Solenhofen w Bawarii. Kamienie z tych kamieniołomów do dziś dnia uważane są za najodpowiedniejsze do tego celu, choć litografię można otrzymać i z innych materiałów jak aluminium, cynku itd. Pierwsza pracownia litograficzna w Polsce powstała przy Instytucie Głuchoniemych w Warszawie, dzięki ofiarnej pracy tamtejszego nauczyciela, który przeprowadził studia nad tym działem grafiki w Monachium u wynalazcy litografii. Dwie pierwsze prasy litograficzne sporządzono w kraju, ufundowane przez hr. Chodkiewicza, który oddał w swoim pałacu salę na pracownię litograficzną, gdyż w Instytucie Głuchoniemych przeznaczone na ten cel pomieszczenie było za małe. W następnych latach robiono piękne ilustracje do książek i do pism, lecz wkrótce powiększyła się liczba zakładów litograficznych, a litografia zatraciła swój pierwotny charakter artystyczny i wprzęgnięta została do pracy czysto praktycznej. Odbijano etykiety, blankiety, nuty etc. odbierając litografii rolę ilustratora wydawnictw ozdobnych. Obecnie znów odradza się litografia artystyczna w odmiennej formie, dzięki Wyczółkowskiemu i całej plejadzie artystów litografów.

W ostatnich tygodniach zostało otwartych kilka wystaw graficznych. Jedna pod tytułem **„Drzewo, drewno i drzeworyt“.**



Św. Andrzej Bobola
Sztych Włoski z końca XVIII wieku.

Taką nazwę dał Główny Komitet Dnia Lasu wystawie prac graficznych, urządzonej w gmachu Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie, gdzie uwzględniono drzewo jako temat i drewno jako materiał. Jest to wystawa współczesnych drzeworytów artystów polskich. Przesuwa się przed nami historia lasów, w które tak bogata jest Polska. Widzimy drwali rąbiących sosny, płynące tratwy, cieśli, którzy budują domy, drewniane zagrody, domostwa, miasteczka, kościółki, cerkiewki, stare kapliczki, świątki tak ściśle związane z pejzażem polskim, misterne bramy drewniane, barcie, łódki, żaglówki, pasterzy góralskich z fujarkami. Tu ktoś robi kołyskę, tam trumnę i krzyż, wszystko z tego samego drzewa. Oglądamy pejzaże, wizje lasu w zimie, w lecie dzikich mieszkańców borów: łosie, dziki, żubry i t. d. cała symfonia charakteryzująca Polskę i jej krajobraz.

W Instytucie Propagandy Sztuki w Warszawie mieliśmy tej wiosny ciekawą wystawę **B. Krasnodębskiej-Gardowskiej,** znanej polskiej drzeworytniczki. Tematyka religijna ją interesuje, zwrócić tu możemy uwagę na cykl, przedstawiający Drogę Krzyżową. Natchnienie zaczerpnęła artystka ze skarbnicy sztuki ludowej. Widzimy w tej kompozycji pewne dążenia do ekspresji, ogromne



Św. Andrzej Bobola miedzioryt z XVIII w. W podpisie błędna data, św. Andrzej Bobola został umęczony w r. 1657, a nie w 1567.

bogactwo dekoracyjne w ornamentyce szat zgiełkliwego tłumu, które zestawia ze szlachetną i dostojną w prostocie białą szatą Chrystusa. Cały c y k l jest jednolicie przeprowadzony w swej surowości i dynamice, w kościółkach na Podkarpaciu wizerunki tej Drogi Krzyżowej cieszą się ogromnym uznaniem wiernych. W Warszawie w Kaplicy Misjonarzy możemy obejrzeć te czysto polskie kompozycje Stacyj Męki Pańskiej.

W Poznaniu, z okazji kanonizacji Andrzeja Boboli Galeria Mielżyńskich Tow. Przyjaciół Nauk wraz ze Zbiorem Graficznym Biblioteki Kórnickiej urządziło piękną wystawę pod tytułem **„św. Andrzej Bobola oraz Święci i Błogosławieni Polscy w dawnej grafice“.** Wystawa obejmuje stare i cenne sztychy Patronów polskich, św. Kazimierza Królewicza z koroną złożoną u nóg, sztych Zucchiego z XVIII wieku, Św. Stanisław Kostka, miedzioryt G. F. Greutera, znany z reprodukcyj, święty Jacek Odrowąż, jak błogosławi rycerstwu polskiemu w czasie bitwy z Turkami. Sztychy z XVIII wieku św. Andrzeja Boboli, gdzie może w nieco naiwnej ale jakże wymownej formie przedstawiony jest nasz nowy Patron z mieczami i palmą zwycięstwa.

Imola Łoś, kanoniczka.

Od Jan-ce-kiangu do Me-kongu.

Na „Conte Rosso“ przybył Ambasador Rzeczypospolitej p. J. Barthel de Weydenthal i rozciągnął opiekę państwową nad naszą Polonią.

Kiedy przed Wielką wojną poraz pierwszy stanąłem na kontynencie Azji i zobaczyłem Wschód, byłem zmuszony legitymować się obcym paszportem i, w miarę potrzeby, zwracać się do konsulatów naszego zaborcy. Tym większa radość teraz zalewała moje serce, że tak daleko, na krańcu żółtego lądu, znalazłem się nie tylko wśród swoich, ale czułem się otoczony potężnym skrzydłem Białego Orła, które uosabiał Przedstawiciel Polski.

I byłem dumny z tego, że moje Państwo nigdy na Chińczykach nic nie wymuszało i nie drażniło ich ambicji narodowej. Daliśmy im dwie misje i szpital dla chorych na oczy, gdzie leczą się przeważnie ludzie ubodzy. To jest wszystko, co sobie o nas zapiszą Chiny w dziejach swojej walki z cudzoziemcami.

Inteligentni Chińczycy to rozumieją i z większym zaufaniem odnoszą się do Polaków, niż do Francuzów, lub Anglo-Sasów. „Skoro się załatwimy z Japończykami — powiedział jeden z nich — weźmiemy się do białych — lecz wasze instytucje dobroczynne zostaną“.

Byłem zbyt krótko w Chinach i zwiedziłem tylko drobne ułamki tego olbrzymiego państwa, ale wrażenie mam po nich jak najlepsze. Szan-haj, Su-czou i Han-czu pokazały mi się w lutym, który uchodzi za najzimniejszy miesiąc roku, jednak i wtedy można było już robić obserwacje, że wiosna tam musi być prześliczna. Od ludzi nie doznałem najmniejszej przykrości.

O zaletach i wadach Chińczyków dużo się pisało rzeczy poważnych i facecji dla rozweselenia Europy.

Istota charakteru tego narodu została, chociaż wszyscy wiedzą, że on teraz tak się szybko zmienia, jak długo pozostawał nieruchomy w odwiecznych formach.

Europejczycy oprócz faktorii handlowych dali Chinom swoje szkoły i ułatwiali wyjazdy młodym Chińczykom do siebie na studia.

Od zeszłego roku mówi się, że Japonia dlatego wywołała ostatnią wojnę, bo chce stanąć na czele żółtej rasy w walce z białymi o supremację nad światem. Sądzę, że przyczyna jest inna.

Europa może w Chinach stracić nadmierne przywileje i koncesje, ale jej handel i nauka zawsze się Chińczykom przydadzą. Tymczasem ucywilizowane na sposób zachodni Chiny staną się prawdziwym niebezpieczeństwem dla Japonii.

Czym byłyby jej mizerne wysepki, gdyby żółty kolos na kontynencie zdobył sobie to wszystko, co ona niegdyś wzięła od Europy?

Dlatego armia Mikada rozpoczęła wojnę i gorączkowo dzieli Chiny na drobne państwa oraz niszczy ich szkoły zachodniego typu, zwłaszcza wyższe. Takie przynajmniej mamy wieści z pola walki.

Dla interesów Japonii byłoby najbardziej pożądane, żeby Chiny wróciły może nie do tradycji dynastycznych Sunga, czy Lianga, ale przynajmniej Czingów mandżurskich, którzy panowali w Pekinie od 1644 do 1911 roku.

Potężne, wykształcone Chiny nie pozwoliłyby Japonii sobie przewodzić. Ona nie ma wcale widoków na supremację nawet w samej Azji. Cały naród podbitej przez nią słabej Korei demonstracyjnie do dnia dzisiejszego nosi żałobę.

Już teraz jest straszna nienawiść w Chinach do Japonii, a Chińczyk, umie być wdzięczny, jak nikt inny, ale skrzywdzony nienawidzi aż do śmierci.

My europejczycy potrafimy zaledwie odróżnić Chiny właściwe od Mandżurii, Mongolii, Turkiestanu i Tybetu, tymczasem oryginalni Chińczycy różnią się pomiędzy sobą bardzo i przedstawiają doskonały materiał do rozbicia na części.

„Chińczycy“ jest to pojęcie abstrakcyjne — mówi Lin Yutang (La Chine et les Chinois. Paris 1937). Jako żywi ludzie są mieszaniną typów tak niepodobnych do siebie, jak w Europie mieszkańcy Skandynawii i basenu morza Śródziemnego.

Chińczyk z północy jest trochę mongolski. Ma idee proste, egzystencję surową, jest fizycznie dobrze zbudowany, zdrowy, serdeczny, jowialny, lubi przy tym cebulę. Literatura i sztuka mniej go obchodzą. Widzimy go wśród bokserów, bandytów z Szantungu i rozbójników cesarskich, którzy torowali drogę na tron wszystkim dynastiom tutejszym.

Na południu, tam gdzie stolicą jest Kanton, spotykamy lud o żywym charakterze, przedsiębiorczy, beztroski, lubiący postęp, awanturniczy i bitny. Pod kulturą chińską trwają tu jeszcze tra-

dycje pożeraczy wężów, odzywa się krew pierwotnych mieszkańców Chin południowych Yieh.

W centrum kraju, koło Han-kou, mieszkają ludzie o języku chropowatym, którzy mają opinię intrygantów.

Na południe od ujścia Jan-ce-kiangu w Szanhajskim widać inny typ tej rasy. Jest on fizycznie nieco zdegenerowany, lubiący wygody i tchórzliwy na wojnie. Kocha za to poezję, a żywi się zupą z gniazd jaskółczych i lotosem. Tak go określa Lin Yutang. Pochodzi przeważnie od starych rodów chińskich, które przeszły z północy za rzekę Niebieską, ustępując miejsca barbarzyńcom.

Przechował on najbardziej charakterystyczne cechy Chińczyka. Znam je trochę ze spostrzeżeń osobistych i z opowiadań cudzych.

Przysłowiowa jest cierpliwość chińska. Narodowi temu zdarzały się rozmaite uciski. Miał wojny, prześladowania, tyranie, obce najazdy, ale gdzie się mogło zdarzyć coś podobnego, jak w niektórych częściach Se-czuenu, kiedy obywatele musieli płacić podatki za trzydzieści lat naprzód. I płacili cicho i potulnie.

Mam relacje z początków obecnej wojny japońsko-chińskiej. Nad Szan-hajem goniły się dwa wrogie aeroplany. Chiński z obawy, żeby nie został doścignięty postanowił sobie ulżyć i wiezione bomby zrzucił na własne miasto. Zrobił się wielki huk i do katolickiego szpitala „Sainte Marie“ zaczęły syksze zwozić masy pokrwawionych i połamanych Chińczyków. Nie było czasu na znieczulenia i narkozę, operacje robiło się odrazu, a to biedactwo bolesne zabiegi znosiło cierpliwie bez jęków i narzekania.

I nie trzeba tego uważać za jakąś głuchą, niewolniczą apatię, przywykłą do posłuszeństwa pod batem. To jest wrodzone ułożenie, będące następstwem wiekowej kultury, które weszło Chińczykom w charakter.

Do Chińczyka, nawet prostego, trzeba przemawiać zawsze grzecznie. Jeżeli Europejczyk na niego krzyknie, chociażby sam tego nie brał do serca, to już sobie zrobił nieprzyjaciela.

W Chinach nie można cudzego dziecka nawet pogłaskać. Byłoby to w złym tonie.

Pewnego razu przy mnie jeden z naszych europejczyków zachwycony malutką, może dwuletnią, Chineczką, okrasił swoje oblicze przyjemnym uśmiechem i wziął ją za rączkę. Obecna przy

tym matka spojrzała na mnie z przykrym zdziwieniem, żebym sam ocenił, czy zachowanie się tego pana było taktowne?

Pomimo śladów arystokratyzmu, Chińczycy lubią bakszysze, jednak napastowania na ulicy, nawet przez dzieci, z wyjątkiem jednego wypadku, nie miałem. Może to jest przywilej Azji.

W handlu podobno Chińczyk potrafi być szachrajem.

Przy moich drobnych tranzakcjach ceny towaru zawsze były stałe.

Jeden z najsympatyczniejszych naszych dyplomatów zaprosił wszystkich Polaków z okrętu na prawdziwy chiński obiad, złożony z dań około trzydziestu.

Niestety nie mogłem skorzystać z tej uprzejmości, bo czas miałem całkowicie wypełniony programem zwiedzania Szan-haju i okolicy. Samochody czekały na nas i trzeba było jechać.

Za to od tych, co brali udział w obiedzie dowiedziałem się wszystkiego, a nawet otrzymałem w prezencie książkę gastronomiczną z zakładu Sun Ya przy ulicy Nankińskiej.

Moi rodacy jedli tam pletwy rekina. Są one podawane z siekanym kurczęciem, z jajkami, albo w brązowym sosie. Następnie menu przewiduje zupę z jaskółczych gniazd, zaprawioną jajkami gołębia, kurczę smażone z łodygami bambusu, wołowinę w ostrygowym sosie, jarską szynkę z fasoli, łydki żabie, ozór prosiaka z korzeniami, zupę kwiatową, dziewięć odmian ryżu i znowuż zupę z jaskółczych gniazd i lotosu, ale na słodko.

Nie będę reszty potraw wyliczał, bo już bym więcej nic o Chinach nie mógł napisać.

Książka zawierała jeszcze różne myśli dodane przez autora. Dowiedziałem się z nich, że Chiny są jednym z niewielu krajów, w którym jedzenie należy do sztuk pięknych oraz, że Chiny i Francja są to dwa czołowe narody epikurejskie, dlatego jedzą żaby.

To ostatnie nie jest zupełnie ściśle, bo Epikur w swoim słynnym ogrodzie, nad którego bramą był napis: „gościu, będzie ci tu dobrze, tu hedonė jest szczęściem najwyższym", dawał swym gościom tylko kaszę i wodę.

Pomimo wszystko, sądzę, że ten obiad był mocno zeuropeizowany, czyli wyglądał, jak samo miasto Szan-haj.

Zacny fundator umyślnie zawiózł gości do eleganckiej restauracji Sun Ya, żeby się nasza Polonia nie struła.

Nanking Roal leży przecież w International Settlement.

Mam mocne przekonanie, iż na ulicy Fong Pang, albo Kwang Tsao jeszcze jadają potrawkę ze szczurów, psów i kotów, brody smocze, podeszwy z nóg gołębich i szyszki duszone w miodzie.

Chińczycy powiadają: „tak się Europa niepokoi tym, co my jemy, a czy ona wie, co to jest głód? Chiny cierpią na przeludnienie i w chwilach nieurodzaju je się korę drzewną. Tylko do jednej rzeczy nie możemy się przyzwyczaić, mianowicie do sera. Napróżno zachęcali nas do jego spożywania Mongołowie, beznadziejny też jest przykład Europejczyków“.

Jakąkolwiek podalibyśmy przyczynę, trzeba uważać za fakt stwierdzony wielką wagę, przywiązywaną przez Chińczyków do jedzenia.

Lin-Yutang twierdzi, że to jest jedyna rzecz brana przez nich na serio.

Wielki poeta Yiian Mei poświęcił kuchni cały duży poemat, nie mniej sławny dramaturg Li Liweng układał recepty dla nowych potraw, a w chińskich romansach uderzają drobiazgowe opisy menu podczas obiadów, w których biorą udział bohaterowie powieści.

Brzuch w poezji chińskiej odgrywa mniej więcej taką rolę, jak w naszej róże i śpiew słowika.

Jeżeli w Europie mówi się o tym, co Chińczycy jedzą, to zaraz przychodzi na myśl zupa z jaskółczych gniazd. Te jaskółki, jak wiadomo, są to salangany (Collocalia Gray), które się gnieżdżą na brzegach Indo-Chin i po wyspach mórz południowych, zwłaszcza na Nikobarach.

Książka Sun Ya powiada, że zupa z ich gniazd jest „famous for nutritive value“, tym czasem niedawno badania Lothara Graefego dowiodły, iż one gniazda, podobne z wyglądu do brudnej żelatyny, zawierające około 18% węglowodanów i szereg kwasów aminowych, nie ulegają strawieniu i nie mają własności odżywczych.

Sto takich gniazd tworzy jedno katti (około 600 gramów), a sto katti nazywa się pikul, który dawniej kosztował w Chinach od czterech do pięciu tysięcy guldenów holenderskich.

Wobec podobnej ceny, myślę, że restauracje fałszują tę zupę, zamiast gniazd dając żelatynę, albo coś podobnego.

Chińczycy piją dużo herbaty i to ich podobno zabezpiecza od alkoholizmu. Mają jednak trzy gatunki wina własnego: północne

(bardzo mocne), Szao Hsing z delty Jan-ce-kiangu (przypomina w smaku Sherry) i Kantońskie (łagodne i słodkie).

Posiadają nawet poetę własnego Li Po, który w winie szukał natchnienia dla swoich wierszy. Oto jak się zaczyna jeden z jego poematów:

Stoi dzban wina pomiędzy kwiatami,
Nadeszła noc skończył się dzień,
Więc proszę księżyc do kompanii,
A trzeci kamrat — to mój cień...

Inny poeta Tu Fu pisał o tym Li Po, że sam cesarz nie potrafiłby go wyciągnąć z szynku.

Przyznam się, że osobiście pijaka w Chinach nigdzie nie widziałem. —

(c. d. n.).

Ks. T. Radkowski.

Do Braci Kapłanów!

Coraz częściej słyszymy z ust kapłanów gorące pragnienia odprawienia dobrze dłuższych rekolekcyj. Jeżeli bowiem w czasach dzisiejszych świeccy odprawiają trzydniowe rekolekcje, a kto odprawił już kilka razy trzydniowe, pragnąłby odprawić doskonalsze, dłuższe ćwiczenia rekolekcyjne, to nic dziwnego, że podobne usilne pragnienia spotykamy w sercach kapłańskich. Przecież kapłani często muszą być kierownikami dłuższych rekolekcyj w rozmaitych Zgromadzeniach Zakonnych.

Aby tym pragnieniom zadość uczynić, już w zeszłym roku były zapoczątkowane 8 dniowe rekolekcje na Jasnej Górze. Nad spodziewanie bez specjalnej reklamy sprowadziły one kilkudziesięciu kapłanów, którzy z wielkim zadowoleniem, w skupieniu prawdziwym odprawili te ćwiczenia duchowne. W ten sposób to, co w innych krajach już wchodzi w zwyczaj, u nas spóźnione, z powodzeniem zostało zapoczątkowane.

W roku bieżącym dłuższe rekolekcje dla kapłanów będą przeprowadzone również w Częstochowie w Domu Rekolekcyjnym Księży Jezuitów. Warunki wszelkie dla odprawienia dłuższych rekolekcyj mamy zapewnione. Opłata za wszystko nie wielka — 6 zł. dziennie. Ulgi kolejowe zapewnione.

Inicjatywę tych rekolekcyj, jak w roku przeszłym, daje Unia Apostolska, która ma za zadanie służyć swoim członkom i nieczłonkom kapłanom wszelkimi pomocami ku podniesieniu życia wewnętrznego.

Na te rekolekcje wszystkich kapłanów, pragnących je odprawić, serdecznie zapraszamy.

Rekolekcje rozpoczną się 30 czerwca o godz. 19, skończą się zaś 8-go lipca wieczorem.

Zgłaszać się należy pod adresem: Dom Rekolekcyjny OO. Jezuitów w Częstochowie, ul. św. Kingi 74. Tel. 13-63.

Dyrektor Krajowy Unii Apostolskiej w Polsce

† **Leon Wetmański.**
Bp. Sufr. Płocki.

ŚWIATŁA I CIENIE

(Nowy etap na drodze połączenia się Wschodu z Zachodem — Sytuacja Kościoła prawosławnego na świecie).

Organizowane w Rzymie, Neapolu i Florencji przede wszystkim uroczystości na cześć dyktatora Niemiec przesłoniły doniosłego znaczenia dla życia Kościoła wydarzenie: Tydzień „pro Oriente Christiano“, który się odbywał we Florencji między 3 — 12 maja.

Oddawna już omawiana we włoskich sferach kościelnych idea tygodni „pro Oriente Christiano“ została zrealizowana w 1932 r.; tygodnie te studiami i modlitwą pracują nad powrotem Kościoła Wschodniego do owczarni Piotra. Poprzednie odbywały się kolejno w Palermo, Syrakuzach, Wenecji i Bari. Na miejsce piątego tygodnia wybrano „miasto kwiatów“ ku upamiętnieniu Soboru Florenckiego, który obchodzi w tym roku swą pięćsetletnią rocznicę zwołania.

Ogólny temat studiów ostatniego tygodnia: Sobór Florencki; dewiza: prawda i miłosierdzie. Pracami kierował przewodniczący katolickiego włoskiego Stowarzyszenia „pro Oriente Christiano“, arcybiskup Palermo, kardynał Lavitrano.

Mówcy i kaznodzieje uwidocznili w swych przemówieniach nieustanną działalność Kościoła, szczególniej papieży, nad powrotem do jedności z Kościołem schizmatyckiego Wschodu.

Słusznie nazywa się Piusa XI-go papieżem misji, papieżem Akcji Katolickiej, papieżem Nauk; nie należy jednak zapominać o jednej z wielkich trosk Ojca Świętego, z racji której można Go nazwać również papieżem jedności. „Musimy pamiętać, powiedział w swym inauguracyjnym przemówieniu arcybiskup Florencji, kardynał Dalla Costa, że zarówno w tej, jak i w innych dziedzinach Najwyższy Zwierzchnik jest duszą i mądrym kierownikiem całego świętego przedsięwzięcia. Papież Pius XI ogłosił encykliki: „Ecclesiam Dei“ i „Rerum Orientalium“, całkowicie poświęcone sprawie Wschodu; utworzył w zakonach Benedyktynów, Dominikanów, Jezuitów, Redemptorystów odgałęzienia wschodniego obrządku; zorganizował wielkie dzieło pomocy dla emigrantów rosjan we wszystkich krajach; założył wreszcie „Russicum“ i kolegium Rusińskie.

Odkąd Kościół katolicki przez Schizmę utracił Wschód, nie przestał opłakiwać tego nieszczęścia i nieustannie zabiegał o powrót marnotrawnego syna.

Schizma rozdwoiła Kościół Chrystusowy w 1054 r. Już w 1071 r. papież Aleksander II za pośrednictwem Piotra d'Anagni czynił próby pozyskania biskupów wschodnich. W 37 lat później odbył się w Bari synod w obecności papieża wypraw krzyżowych, Urbana II-go i św. Anzelma. W 1274 r. zwołany został do Lyonu sobór, w którym wziął udział św. Bonawentura; św. Tomasz z Akwinu wezwany nań również przez papieża zmarł w drodze.

Czego nie osiągnął sobór w Lyonie, zdawało się, że zrealizuje Sobór Florencki, rozpoczęty w 1438 r. w Ferrarze, a zakończony w 1445 r. we Florencji. Cztery kwestie dzieliły greków od łacinników: „Filioque“, przaśniki, czyściec i prymat papieża. Pierwsza, najbardziej drażliwa, po długich i pracowitych dyskusjach została pomyślnie rozstrzygnięta. Co do trzech innych również jedność osiągnięto. Grecy i łacinnicy uznali, że „Stolica Święta i biskup rzymski posiadają prawo pierwszeństwa na cały świat“, że „biskup rzymski jest następcą Błogosławionego Piotra, księcia apostołów, jest prawdziwym Wikariuszem Chrystusa Pana, jest Ojcem i doktorem wszystkich chrześcijan“.

Akt unii został uroczyście ogłoszony 6 lipca 1439 r. „Niebiosa radujcie się, ciesz się ziemio! Upadł mur dzielący Kościół Wschodu i Zachodu“. Lud florencki, zgromadzony w kościele Santa Maria del Fiore z niezmierną radością przyjął to posłannictwo zjednoczenia.

Jednak jeden z patriarchów greckich, Marek Efezki, zasadniczo unii niechętny, gdyż powodowany pychą jak Cerulariusz, wytrwale pracował nad ponownym wzniesieniem powalonego muru. Znalazł pretekst, by nie brać udziału w ostatnich obradach, i odmówił podpisania aktu unii. Zręcznie wyzyskując narodowe urazy, przesądy, namiętności, czyniąc z siebie bohatera greckiego prawa, ogłaszając wschodnich biskupów, którzy połączyli się z Rzymem, jako niewolników łacińskiego Kościoła, apostatów i zdrajców, zdołał ponownie oderwać Wschód od Zachodu.

Kardynał Pacelli w liście, który w imieniu Najwyższego Pasterza wystosował do kardynała arcybiskupa Florencji, pisał: „Nie znaczy to, że taki stan będzie trwał wiecznie. Smutek rozłączenia może któregoś dnia zamienić się w radość złączenia, jaka przed 500 laty rozbrzmiewała we Florencji“.

„Zadanie piątego tygodnia polega na jego gorącej i cennej współpracy nad przygotowaniem tego dnia niewypowiedzianej radości; Bóg jeden wie tylko, czy jest on daleki, czy bliski. Ojciec święty pragnie, by „Tydzień“ rozbudził ducha modlitwy dla tej szlachetnej sprawy, by szerzył odpowiednio poważanie i znajomość chrześcijańskich społeczności Wschodu“.

Tydzień Florencki pięknie się zapisze w historii Kościoła: stanie się on niewątpliwie krokiem naprzód, postępem w wysiłkach zbliżenia marnotrawnego syna do matki — zbliżenia pomiędzy Rzymem i schizmatyckim Wschodem.

Tym, którzy brali udział w konferencjach i ceremoniach zarówno łacińskiego, jak i wschodniego obrządku, obrady we Florencji pozwoliły dokładniej zrozumieć, a tym samym właściwiej ocenić geniusz wschodni. Odłączonym zaś od Rzymu braciom Wschodu wskazały, że pasterze i najlepsi synowie Kościoła katolickiego szczerze się zajmują studiowaniem Wschodu, by lepiej go cenić.

Wszystkim zaś Tydzień „pro Oriente Christiano“ przypomina, że Kościół rzymski jest powszechny: „Kościół Jezusa Chrystusa nie jest ani łaciński, ani grecki, ani słowiański: jest katolicki; nie

czyni żadnej różnicy pomiędzy swymi dziećmi, czy są to grecy, czy łacinnicy, czy słowianie, czy członkowie innych narodowości; dla Stolicy Świętej wszyscy jednakowe zajmują miejsce“ (słowa papieża Benedykta XV-go).

* * *

W związku z Tygodniem „pro Oriente Christiano“ warto zdać sobie sprawę, jak w chwili obecnej przedstawia się sytuacja Kościoła prawosławnego na świecie.

Prawosławny kościół bułgarski najlepiej zachował własny, słowiański, ludowy charakter. Trzymał się zawsze zdala od wszelkiego wpływu Europy zachodniej. Tłomaczy się to faktem, że naród bułgarski składa się prawie wyłącznie z włościan, żyjących po wsiach, obcujących z przyrodą i zabezpieczonych od wpływów miast, zwracających swe zainteresowania stale ku Zachodowi. Bułgaria liczy 6 milionów mieszkańców, w których 4½ miliona stanowią prawosławni; na resztę składają się mahometanie i nieznaczna ilość katolików.

Kościół jugosłowiański rości sobie prawa do niezależności i w pewnym stopniu specjalnej godności, gdyż uważa, że on to w ciągu wieków odgrywał zasadniczą rolę w organizowaniu odporu islamizmowi na Bałkanach. Tradycyjne jest również, że prawosławny kościół serbski zachowuje wobec innych wyznań pewną postawę rezerwy. Należy jednak zwrócić uwagę, iż na 14 milionów mieszkańców jest tylko 6 milionów prawosławnych; nie stanowią więc oni absolutnej większości; — to Serbowie. Chorwaci, Słoweńcy, Dalmatyńcy są prawie wyłącznie katolikami.

Małe państwo albańskie, którego narodowa i religijna sytuacja pozostają dotąd niewyjaśnione, posiada również swój własny Kościół prawosławny. Na milion mieszkańców jest 180 tys. prawosławnych i 100 tys. katolików. Prawosławie albańskie wielce się upodabnia do jugosłowiańskiego.

Prawosławny Kościół rumuński posiada duże znaczenie. Na 18 milionów mieszkańców 12½ miliona zalicza się do prawosławia. Ze wszystkich prawosławnych kościołów Wschodu, kościół rumuński jest najbardziej otwarty na chrześcijańskie wpływy Zachodu; nie oznacza to wcale pomniejszonego, zsekularyzowanego, rzec można, prawosławia o masońskich tendencjach, ale prawdziwą ortodoksję religijną. Ta posiada wiele punktów styczności

z Zachodem. Tym się to tłomaczy, że Rumunia powstała z łacińskiego pnia i że dopiero później pierwotna rasa zmieszała się ze słowiańskimi elementami. Ludność nie prawosławną stanowią 3 miliony katolików, przeszło milion protestantów, milion żydów i 170 tysięcy mahometan.

W Czechosłowacji obok 14 milionów katolików i 1.250.000 protestantów zamieszkuje około 150 tys. prawosławnych, przede wszystkim w Rusi podkarpackiej.

Rzeczpospolita Polska liczy 3.750.000 prawosławnych. Prawosławni obywatele Polski i Czechosłowacji są zbliżeni do rumuńskiego prawosławia. Dlatego głowy prawosławnych kościołów w tych trzech państwach pozostają ze sobą w bardzo ścisłych stosunkach.

Przejdźmy do Kościoła prawosławnego w Gruzji. Gruzini zamieszkują jedną z najbogatszych i najpiękniejszych ziem na Bliskim Wschodzie. Wraz z ormianami stanowią najstarszy naród chrześcijański w kraju zakaukaskim. Po przyłączeniu się do greckiej schizmy musieli się następnie podporządkować twardemu prawu mahometan i mongołów. W 1918 r. sądzili, że zdołają przez utworzenie niezależnej Republiki gruzińskiej zachować swą chrześcijańską religię. Niestety, władcy Rosji Sowieckiej zajęli Gruzję i uciemiężają ją podobnież, jak i największy kraj prawosławny — Rosję. Obecnie żyje w Gruzji 2½ miliona prawosławnych.

W sprawie dokładnej sytutacji kościoła prawosławnego w Rosji przytaczano wiele liczb, ale żadna nie opiera się na godnych wiary danych. Liczba mieszkańców Rosji wynosi obecnie 165 milionów. By móc wyrobić sobie pojęcie o prawosławiu w Rosji należy odwołać się do liczb z 1917 r. przed wielkim wstrząsem, który ją radykalnie przekształcił. Liczono wówczas 130 milionów Rosjan wyznania prawosławnego, należących do 250 biskupstw. Można niewątpliwie sądzić, że pomimo niesłychanych prześladowań większość prawosławnych trwa niewzruszenie przy swej wierze. Oceniają jeszcze dzisiaj na sto milionów całkowitą liczbę Rosjan prawosławnych, włączając w nią Rosjan emigrantów, przebywających poza granicami kraju.

Istnieją poza tym drobne kościoły prawosławne: w Estonii (210 tys. wyznawców), na Litwie (50 tys.), na Łotwie (170 tysię-

cy), w Finlandii (60 tysięcy). Ameryka liczy pół miliona prawosławnych, Australia — 7.500.

Całkowita liczba prawosławnych łącznie z Rosją wynosi około 140 milionów.

Ks. J. Szm.

WIADOMOŚCI

Z EPISKOPATU

List-autograf Ojca św. do JEm. Ks. Kardynała Kakowskiego. — Ojciec św. za pośrednictwem sekretariatu stanu nadesłał z racji jubileuszu biskupstwa JEm. Ks. Kardynała Kakowskiego list-autograf następującej treści:

Ukochanemu Synowi Naszemu Aleksandrowi tyt. św. Augustyna św. Kościoła Rzymskiego Prezbyterowi Kardynałowi Kakowskiemu Arcybiskupowi Warszawskiemu, Pius PP. XI.

Ukochany Synu Nasz,

Pozdrowienie i błogosławieństwo apostolskie.

Przed dwoma laty, kiedyś szczęśliwie obchodził pięćdziesięciolecie swego kapłaństwa z największą radością daliśmy wyraz ojcowskich Naszych uczuć i życzeń. Obecnie zaś ukończony dwudziesty piąty rok wyniesienia Twego do godności biskupiej daje nam znów sposobność okazania Ci Naszej życzliwości i połączenia się w radości z Tobą i z Twymi najbliższymi z racji tej dostojnej uroczystości. Wiadome są Nam dobrze Twoje starania i wysiłki, które w rządach swych pasterskich wykazałeś w tym długim okresie czasu, dokładnie poznaliśmy Twą szczególną troskliwość wśród wielu dzieł zbawiennych także o Akcję Katolicką, o opiekę nad nią i o jej rozwój. Dlatego też, gdy z racji Twego pasterskiego urzędu, tak długo i tak gorliwie wypełnianego z serca Ci życzenia składamy, z całą radością niniejszym pismem Naszym w tym uroczystym obchodzie udział bierzemy. Czynimy to tym chętniej, że miłą zawsze i wdzięczną pamięcią wspominamy ten radosny dzień, w którym z pełności Twego kapłaństwa My sami, przebywając w Twej archidiecezji, z łaski Bożej godność biskupią otrzymaliśmy. A zatem szczodrobliwego Dawcę wszelkich dóbr z usilną prośbą błagamy, aby Ciebie najwyższymi darami i pociechami pokrzepionego na pożytek Kościoła jak najdłużej zachować i strzec raczył. Żeby zaś uroczystości te stały się bardziej zbawienne dla Twojej owczarni, dajemy Ci władzę w oznaczonym przez siebie dniu po Mszy św. pontyfikalnej udzielenia obecnym

na niej wiernym w Naszym imieniu i powagą Naszą błogosławieństwa i odpustu zupełnego, który mogą uzyskać na warunkach przez Kościół przepisanych. Życząc Ci w końcu wszelkiego dobra i pomyślności, jako zadatek łask niebiańskich i na znak Naszego szczególnego umiłowania, udzielamy Ci, synu Nasz, ukochany, biskupom Twym sufraganom, a także całemu duchowieństwu i wiernym, z całą miłością w Panu — błogosławieństwa apostolskiego.

Dan w Zamku Gondulfa pod Rzymem, dnia 2 maja, roku 1938, pontyfikatu Naszego siedemnastego.

Pius PP. XI

całym sercem.

Nowy biskup ordynariusz diecezji kieleckiej. — Ojciec św. Pius XI mianował ks. prał. dr. Czesława Kaczmarka, dyrektora Diecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej w Płocku, Biskupem Ordynariuszem diecezji Kieleckiej.

JE. Ks. Biskup Nominat urodził się dn. 16 kwietnia 1895 roku. Po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w r. 1914 i Seminarium Duchownego w Płocku został w r. 1922 wyświęcony na kapłana. Następnie wyjechał na studia uniwersyteckie do Lille, gdzie uzyskał doktorat filozofii, po czym studiował socjologię w Sorbonie. Pracę duszpasterską rozpoczął wśród wychodztwa polskiego we Francji na placówkach w Bruay i Escarpolle-Asturies.

W 1929 r. ks. dr. Cz. Kaczmarek został sekretarzem generalnym Związku Młodzieży Katolickiej a następnie w r. 1932 dyrektorem Diecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej w Płocku i na tym stanowisku rozwinął energiczną i owocną działalność organizacyjną, wychowawczą, rekolekcyjną i t. p. zyskując powszechny szacunek i uznanie i poza granicami diecezji płockiej.

Z Konferencji Episkopatu Polski. — W dniu 10 z. m. odbyła się w Warszawie Konferencja Episkopatu pod przewodnictwem JEm. Ks. Kardynała Prymasa Hlonda i przy udziale IIEE. Księży Arcybiskupów Jałbrzykowskiego i Galla oraz Księży Biskupów. Rozpatrzono szereg spraw z życia religijnego oraz będących w związku z działalnością organizacji katolickich i społecznych. Wobec szkodliwych objawów niektórych instytucyj oświatowych Episkopat zwrócił na nie szczególną uwagę.

Dyrektorem Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej został mianowany na miejsce ks. prał. Brossa ks. Marlewski z Poznania.

Wysokie odznaczenie JE. Ks. Biskupa A. P. Szelążka. — Pan Prezydent Rzplitej nadał JE. Ks. Biskupowi Adolfowi Piotrowi Szelążkowi, Ordynariuszowi diecezji łuckiej, wielką wstęgę orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi na polu pracy społecznej.

Z MISYJ

Misjonarz polski z Rodezji w Warszawie. — Bawi w Warszawie misjonarz z Rodezji ks. Tomaka T. J., który pracuje w tej samodzielnej polskiej prowincji misyjnej od lat dwunastu bez przerwy. Ks. Tomaka zebrał bogaty materiał zarówno z dziedziny swej apostolskiej pracy w Afryce, jak i ze wszystkich dziedzin życia licznych tamtejszych szczepów. Wygłosi on w Warszawie o samodzielnej polskiej placówce misyjnej w Rodezji kilka odczytów i przemówi dn. 14 bm. przez radio.

Dnia 13 bm. o g. 7 wieczór ks. Tomaka wygłosi odczyt w Domu Katolickim przy ul. Nowogrodzkiej 49 dla męskiej młodzieży gimnazjalnej. Dn. 14 bm. w sali Theologicum przy ul. Traugutta 1 o godz. 8 wieczór dla inteligencji, zaś dn. 15 bm. o g. 5 pp. w sali parafialnej przy ul. Floriańskiej 3.

W odczytach swych ks. Tomaka opowie legendy, przedstawi wierzenia, obrzędy i sztukę lekarską szczepów rodezyjskich. Całość będzie urozmaicona pięknymi barwnymi przezroczami.

Odjazd misjonarza polskiego na Madagaskar. — Niedawno dom zakonny księży misjonarzy Matki Boskiej Saletyńskiej w Dębowcu k. Jasła żegnał jednego ze swych najmłodszych kapłanów, ks. Władysława Czosnka, wyjeżdżającego na pracę misyjną wśród pogan Madagaskaru. Księża saletyni pracują na Madagaskarze już od lat 40 i mogą się pochlubić owocami swej pracy: teren ich misyjny, wikariat Antsrabe nazwano piękną misją madagaskarską. Dotychczas pracowali tylko we wschodniej części wyspy. W tym roku Stolica św. powierzyła im i część zachodnią, nowo utworzoną prefekturę Morondawa w Sakalawia. Sakalawia obejmuje teren o przestrzeni 100 tysięcy km. kw., liczy 200.000 mieszkańców, w czym 12 500 katolików i 3000 przygotowujących się do chrztu.

Ks. Wł. Czosnek urodził się 27 stycznia 1912 r. w Wokowicach (diec. tarnowska). Święcenia kapłańskie otrzymał w zgromadzeniu ks. ks. misjonarzy Matki Boskiej Saletyńskiej w roku 1937. Ostatnio pełnił urząd prefekta w Małym Seminarium ks. ks. saletynów w Dębowcu, skąd na własną prośbę został skierowany do misji w Morondawie.

RÓŻNE

WATYKAN — Dzień urodzin Ojca św. w Castelgandolfo. — Rocznicę urodzin Ojca św. uczczono bardzo uroczyście. Wszystkie pałace i budynki w Mieście Watykańskim, willę papieską w Castelgandolfo i wszystkie eksterytorialne gmachy kościelne udekorowano barwami i flagami papieskimi. Ojciec św.

odprawił z rana Mszę św. jak zwykle w swej kaplicy prywatnej, tonącej w powodzi kwiatów nadesłanych Mu z racji rocznicy urodzin, po czym na tarasie swej willi spędził dłuższą chwilę odpoczynku, korzystając z pięknego dnia wiosny.

W kościele parafialnym uroczystą Mszę św. w intencji Ojca św. odprawił ks. prałat Toraldo. Po południu w tym samym kościele odśpiewane zostało uroczyste Te Deum. W nabożeństwach tych wzięli udział liczni dostojnicy kościelni, władze miejskie i wielkie rzesze wiernych.

Do Castelgandolfo i Watykanu nadeszły w olbrzymiej ilości depesze i listy z życzeniami od szefów rządów, różnych wybitnych osobistości, kongregacyj i zakładów religijnych, m. in. od kardynała Pacelliego z Budapesztu w imieniu bawiącej tam legacji papieskiej. Oddzielne życzenia w imieniu ludności Castelgandolfo złożyli Ojcu św. podesta i proboszcz miejscowy. Ponad to wszyscy członkowie korpusu dyplomatycznego, liczni dostojnicy kościelni, członkowie patrycjatu rzymskiego i wiele innych osób złożyło swe podpisy w księdze przyjęć.

Uczestnicy Międzynarodowego Kongresu Chemików na posłuchaniu u Ojca św. — Ojciec św. w ubiegły piątek przyjął na audiencji około dwustu uczestników międzynarodowego kongresu chemików, odbywającego się w Rzymie. Do zebranych Papież wygłosił przy tej okazji podniosłe przemówienie o wiedzy i prawdzie, życząc, aby studia uczonych chemików dały im to zadowolenie, które uzyskuje się zawsze przez badania zmierzające do zdobycia prawdy, przez coraz lepsze poznawanie dróg, którymi Boski Mistrz wiedzie do prawdy od Boga płynącej i do Boga prowadzącej. Podniosłe te słowa niech stanowią podnietę i zachętę dla tych wszystkich umysłów, które całą swą energię poświęcają badaniom prawdy.

Na zakończenie posłuchania Ojciec św. udzielił wszystkim błogosławieństwa apostolskiego.

POLSKA — Hołd kupiectwa polskiego Królowej Korony Polskiej. — Dnia 15 z. m., z rana zgromadziło się w Częstochowie ok. 10 tysięcy przedstawicieli kupiectwa z całej Polski, by wspólnie złożyć hołd Najświętszej Pannie, Patronce narodu polskiego. Większość pielgrzymów przybyła pociągami popularnymi z Warszawy, Krakowa, Lwowa, Lublina, Wilna i innych miejscowości.

O godz. 8.45 przed dworcem kolejowym ufundował się pochód, na czele którego kroczyło kierownictwo pielgrzymki, władze Naczelnej Rady Kupiectwa Polskiego i poczty sztandarowe kupców polskich z całego kraju. Przed pochodem niesiono wotum z wizerunkiem Bożej Matki i napisem: „Tobie, Matko Boża, w opiekę oddaje się i o błogosławieństwo w pracy ku chwale Syna Twego Jezusa i ku pożytkowi Ziemi Polskiej, której

królujesz, prosi Kupiectwo Polskie".

O godz. 9.45 powitał pielgrzymkę przed klasztorem Jasnogórskim generał Paulinów o. Pius Przezdziecki. Nabożeństwo przed Szczytem celebrował JE. ks. biskup Antoni Zimniak, kazanie zaś wygłosił o. Pius Przezdziecki. Po nabożeństwie nastąpiło poświęcenie wotum i uroczystość jego złożenia. Następnie poszczególne grupy pielgrzymów przystąpiły do zwiedzania Klasztoru.

Po południu, o godz. 16-ej, przedstawiciele kupiectwa polskiego zgromadzili się ponownie przed Szczytem na uroczystą akademię, podczas której prezes Bogusław Herse z Warszawy wygłosił przemówienie n. t. „N. Maryja Panna w dziejach Polski" a prezes Eugeniusz Wencel mówił n. t.: „Podstawy duchowe kupca polskiego". Akademię zakończono odśpiewaniem „Boże coś Polskę". Odjazd uczestników obchodu częstochowskiego rozpoczął się już o godz. 19.

Częstochowa na dzień pielgrzymki kupiectwa polskiego przybrała wygląd b. uroczysty. Całą trasę pochodu przystrojono flagami o barwach papieskich, narodowych i zielonych — kupiectwa. Nastrój całej pielgrzymki bardzo poważny i uroczysty. Komitet pielgrzymki stwierdza, że pielgrzymka całkowicie osiągnęła swój cel i przyczyni się znakomicie do podniesienia duchowego kupiectwa polskiego, przyśpieszając odbudowę gospodarczą Polski przez żywioł czysto polski.

Zjednoczenie Polskich Inżynierów Katolików. — W Domu Katolickim im. Piusa XI w Warszawie odbyło się walne zebranie Zjednoczenia Polskich Inżynierów Katolików z udziałem członków Koła Warszawskiego oraz przedstawicieli Kół katowickiego i łódzkiego.

Zjedn. P. Inż. K. liczy obecnie około 200 członków, zgrupowanych w Kołach warszawskim, łódzkim, katowickim i krakowskim.

Ze sprawozdań Kół uwydatnia się praca zarządów w kierunku pogłębienia i wprowadzenia w życie zawodowe zasad katolickich, oraz urządzanie rekolekcji. Szczególniej zasługuje na podkreślenie zorganizowanie z wielkim powodzeniem przez Koło Katowickie studium ekonomicznego, prowadzonego przez wybitnych prelegentów, które zgromadziło liczny zastęp słuchaczy ze sfer inżynierskich i przemysłowych.

Zarząd główny od 1 stycznia b. r. wydaje własny organ-kwartalnik p. t. „Biuletyn Zjednoczenia Polskich Inżynierów Katolików". Motto kwartalnika brzmi: „Inżynierowie Polacy, których rozum, praca i wysiłki torują drogi zdobyczom techniki i powiększają dobra materialne Narodu, winni szukać sprawdzianu swej pracy przede wszystkim w Bogu i Jego Woli". Biuletyn zawiera artykuły programowe i artykuły z dziedziny społeczno - gospodarczej, informacje o rozwoju i pracy organizacji inżynierskich katolickich zagranicą, z życia katolickiego

tudzież z działalności wrogów Kościoła i Narodu, w końcu zaś dział bibliografii.

W czasie obrad zgłoszono wniosek w sprawie starań u Władz Kościelnych o poparcie kas bezprocentowych oraz zapoczątkowania w środowiskach technicznych i u władz państwowych stanowczej akcji w celu przeciwstawienia się planowym wystąpieniom bezbożników i komunistów, skierowanych przeciwko duchowieństwu i Kościołowi Katolickiemu. Wnioski te zostały jednogłośnie przyjęte.

Przyjęte zostały również po dłuższej dyskusji zmiany statutowe, opracowane na podstawie doświadczenia dotychczasowej działalności Zjednoczenia. Dotyczą one: 1) wprowadzenia do Zjednoczenia nowej kategorii członków-juniorów, akademików po półdyplomie, celem umożliwienia młodzieży, kończącej wyższe zakłady naukowe, techniczne i rolnicze zapoznania się z działalnością Zjednoczenia i udziału w jego pracach.

2) Uzupełnienia warunków przyjęcia do Zjednoczenia przez zastrzeżenie, iż przyjętym do Zjednoczenia może być inżynier, Polak katolik w dodatku „chrześcijanin przynajmniej w trzecim pokoleniu".

Zarząd Główny po wyborach uzupełniających ukonstytuował się na rok 1938 w następujący sposób: Przewodniczący Antoni Kiciński, wiceprzewodniczący Władysław Dowbór (Katowice) i Karol Iwanicki, sekretarz Ignacy Myszczyński, skarbnik Adam Sotkiewicz, zastępca sekretarza i skarbnika Tadeusz Łoziński, członkowie: Władysław Dzikowski (Kielce), Stanisław Zdanowicz (Łódź) i Roman Brelewski (redaktor Biuletynu). Komisja Rewizyjna: Przewodniczący Zygmunt Święcicki, członkowie: Włodzimierz Jastrzębski i Józef Przeździecki.

Restauracje i kawiarnie nie mogą otwierać głośników w czasie religijnych transmisyj radiowych. — Starosta grodzki prasko-warszawski, odbywając ostatnio inspekcję terenu powierzonego sobie starostwa, stwierdził, iż niektóre przedsiębiorstwa, jak restauracje, kawiarnie i t. p., nie licząc się z taktem i przyzwoitością, pozostawiały głośniki otwarte podczas transmitowania przez radio nabożeństwa z Ostrej Bramy w ub. sobotę i Mszy św. w niedzielę. W związku z tym starosta wydał zarządzenie, zakazujące stanowczo przyjmowania na głośnik w tego rodzaju przedsiębiorstwach transmisyj radiowych z nabożeństw i podobnych uroczystości religijnych, ostrzegając, iż w razie przekroczenia tego zarządzenia przedsiębiorstwa będą zamykane a właściciele ich pociągani do odpowiedzialności karnej.

W czasie tej samej inspekcji jeden z właścicieli mieszkań prywatnych został doraźnie ukarany trzydniowym aresztem za przyjmowanie na głośnik transmisji nabożeństwa z Ostrej Bramy podczas odbywającej się w mieszkaniu tym zabawy.

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ

„Drukarnia Loretańska" — Warszawa, ul. J. Sierakowskiego 6.